Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 6 (1209) ROK XXIV 8 LUTEGO 1981 R. CENA 3 ZŁ

wojewoda i sekretarze

Rozmowa z generałem JERZYM ZIĘTKIEM

czytaj str. 7

emocje a twarda rzeczywistość

Rozmowa z prof. dr hab. TADEUSZEM OLSZEWSKIM, kierownikiem Zakładu Gospodarki Przestrzennej w Instytucie Polityki Regionalnej Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego UŁ.

— Nie milkną polemiki i dyskusje nad zakresem i głębokością nieodzownych zmian gospodarczych i społecznych. Jaki jest pański pogląd na rangę tych zagadnień i ewentualną kolejność ich rozwiązywania? Czy Pana zdaniem trzeba je rozwiązywać równocześnie, w obawie, że inaczej nie załatwi się do końca niczego?

— Postulaty, zgłaszane przez związki zawodowe, zespoły ekspertów od wielorakich spraw publicznych, stowarzyszenia naukowo-zawodowe, indywidualnych dyskutantów idą w dziesiątki tysięcy. Któż jest w stanie uporządkować je w jakiś logiczny system? Można, oczywiście, zrozumieć, że wśród trzydziestu kilku milionów Polaków przez trzydzieści kilka lat nagromadziło się spraw i problemów bez liku. Zerwane tamy surowych zakazów i groźnych straszaków sprawiły, że powódź rozlała się po całym kraju. Niemniej jednak, eskalacja żądań i mnożenie nieuporządkowanych propozycji budzą zasadniczą refleksję, która ośmieliłbym się sformułować w haśle: Rodacy, nie dajcie się zwariować! Już starożytni Rzymianie odkryli prawo i sformułowali generalną formułę porządku społecznego: „Est modus in rebus, sunt certi denique fines, quos ultra citraque nequit consistere rectum", co w wolnej

Dalszy ciąg na str. 6—7

Foto: R. Łucyszyn

WITOLD KASPERKIEWICZ

samodzielność i samorządność

„Umiejętność zarządzania jest czynnikiem produkcji równie cennym, jak wszystkie pozostałe czynniki, a może nawet od nich cenniejszym".

Edward Lipiński

Charakter przedsiębiorstwa socjalistycznego ulega istotnym zmianom w zależności od zasad dominujących w systemie planowania i zarządzania gospodarką narodową. W warunkach supremacji zasad centralistycznych, gdy wszystkie najważniejsze decyzje dotyczące struktury i techniki produkcji są podejmowane na szczeblu naczelnych organów administracji, przedsiębiorstwo ma charakter jednostki wykonawczej. Formalna odrębność ekonomiczna jest w tych warunkach jedyną cechą wyróżniającą przedsiębiorstwo wśród innych organizacji. Przedsiębiorstwa skrępowane mnóstwem dyrektyw i instrukcji, nękane limitami i niedoborami środków produkcji przypominają urzędy posłusznie realizujące narzucone z zewnątrz zadania. W miarę postępującej decentralizacji systemu planowania i zarządzania zakres samodzielności (a właściwie autonomii) przedsiębiorstwa ulega istotnemu rozszerzeniu. Daje to możliwość sprawniejszego działania przedsiębiorstwa, elastycznego dostosowania się do potrzeb rynku, pełniejszego wykorzystania możliwości produkcyjnych, krótko mówiąc — możliwość bardziej racjonalnego gospodarowania.

W efektywności działania przedsiębiorstwa jak w ogniskowej soczewki, skupiają się wszystkie wady i zalety systemu funkcjonowania gospodarki. Niska efektywność pracy przedsiębiorstw, dezorganizacja i chaos panujące w sferze produkcji

Dalszy ciąg na str. 3

JACEK INDELAK

w stronę „drugiej Polski"

„Pałac" — miano to chyba na zawsze przylgnie do budynku, wzniesionego w centrum Skierniewic, u zbiegu ulic: Pomologicznej i Mszczonowskiej.

Budowla rzeczywiście imponująca. Nie tylko w skali Skierniewic. Wyróżnia się na tle naszej powszedniej — koszarowej, szarej, nijakiej — zabudowy, nie tylko rozmiarami, lecz przede wszystkim oryginalnym kształtem. Wyróżnia się tak, jak w przeszłości wybijały się ponad przeciętność obiekty sakralne, przytłaczając ogromem całą okolicę i wzbudzając respekt swoją wspaniałością.

„Pałac" w oczach wielu skierniewiczan wyrastał na symbol praktyk minionego okresu, nacechowanych lekceważeniem opinii publicznej i pogardą dla potrzeb społecznych. Rósł szybko i sprawnie, aczkolwiek w niezdrowej atmosferze, pełnej plotek i domysłów. Rósł szybko, aby dziś — kiedy już pod dachem — stać się przysłowiową kością niezgody między władzami a mieszkańcami Skierniewic.

— Nasze domysły co do przeznaczenia „pałacu" potwierdziły się oficjalnie dopiero po Sierpniu — wyjaśnia mi jeden z rozmówców. — Okazało się, że plotki nie były wyssane z palca: Skierniewice budowały nową gigantyczną siedzibę dla Komitetu Wojewódzkiego. Gdyby nie było po drodze Sierpnia, nikt by nawet nie raczył wysłuchać opinii publicznej: budowę by ukończono i wprowadzono do gmachu ową setkę pracowników, dla których go wybudowano. Pomyśleć: koszt jednego miejsca pracy — ponad milion złotych. Prawie sto metrów powierzchni, ponad trzy tysiące metrów kubatury — na jednego pracownika.

Wyliczenia te nie rozmijają się ze stanem faktycznym. Ogólna powierzchnia budynku wynosi 11 127 m kw., kubatura zaś 33 000 m sześć. Koszt jego budowy sięgnąć ma natomiast — według cen z 1978 roku — 121 mln zł.

Wznoszony obecnie na warszawskim Bródnie szpital wojewódzki kosztuje zaledwie 50 mln zł, chociaż kubaturę ma niewiele mniejszą. Biurowiec skierniewickiej „Zatry" kosztował niewiele ponad 20 mln zł, a zatem koszt jednego miejsca pracy dla każdego z 300 tam zatrudnionych wyniósł niespełna 70 000 zł.

A zatem gmach to nie tylko okazały, lecz wręcz luksusowy.

Właśnie. Co za te same pieniądze można by wybudować? Uwzględniwszy ten sam poziom cen — co najmniej dziesięć typowych żłobków lub pięć dużych przychodni lekarskich.

Nie bez powodu „przelicza się" w Skierniewicach ten obiekt na placówki służby zdrowia lub oświaty i wychowania.

Ostatnią szkołę wybudowano w tym mieście przed 15 laty. Generalnie szkół jest za mało, zaś kilka z nich znajduje się w opłakanym stanie.

Trafiam pod jeden z podpowiedzianych adresów: Szkoła Podstawowa nr 1 przy ul. Mickiewicza. Rozsypująca się rudera z czasów chyba jeszcze carskich. Popękane ściany i sufity, spod których obłażącego tynku wyziera zmurszała trzcina. Na korytarzach zimno, jak w przysłowiowej psiarni. Kaflowe piece nie mogą równomiernie ogrzać całej

Dalszy ciąg na str. 4—5

co z tą milicją?

Rozmowa z ppłk WŁODZIMIERZEM MATYKIEWICZEM komendantem Komendy Dzielnicowej MO Łódź — Śródmieście.

— Panie Komendancie, czy jest Pan gotów odpowiadać szczerze?

— Uważam, że szczerość jest siostrą prawdy.

— Świetnie, nam także chodzi o pewne wyjaśnienia krążących wśród społeczeństwa przekonań, a dotyczących tzw. przywilejów, z których korzystają funkcjonariusze milicji. Na przykład: ludzie są przekonani, że pracownicy MO korzystali i nadal korzystają ze specjalnych przydziałów mięsa, że dodatki rodzinne milicjantów są kilkakrotnie wyższe od pozostałych rodzin robotniczych.

— Prawdą jest, że posiadamy własną stołówkę, o wiele skromniejszą niźli w wielu zakładach pracy. Jest to malutki, ciasny lokal, z którego korzystają także pracownicy cywilni zatrudnieni w sąsiadujących ze stołówką zakładach i instytucjach. A obiady są średniej jakości, wiele stołówek zakładowych serwuje dużo lepsze. Co do przydziału mięsa i wędlin: owszem mamy takowe. Są to ogólnodostępne wędliny (martadela) oraz wołowina z kością. Każdy funkcjonariusz MO może kupić 1 kg raz na 10 dni. Ale ten przydział dotyczy wyłącznie samych funkcjonariuszy, nie zaś ich rodzin. Członkowie rodzin muszą zaopatrywać się tak jak wszyscy mieszkańcy miasta. Jak pan widzi, nie są to nadzwyczajne przywileje. W naszym bufecie nie mamy, podobnie jak w sklepach ogólnodostępnych, ani herbatników, ani słodyczy, ani nawet cytronety.

Dalszy ciąg na str. 8

KRONIKA KULTURALNA

W POŁOWIE stycznia, w kinie „Przedwiośnie", odbyła się uroczysta premiera filmu „Jeśli serce masz bijące". Film powstał w łódzkim zespole „Profil". Jego twórcami są: Wojciech Fiwek — reżyser i Konrad Frejdlich — współautor scenariusza. Film przeznaczony jest dla młodych widzów. Autorzy — odwołując się do powieści Amicisa „Serce" i transponując na nasz grunt jej niektóre wątki, stworzyli niebanalną całość. W filmie grają: rolę główną, dziesięcioletniego chłopca — A. Probosz, a także Z. Rysiówna, A. Struwe, W. Pyrkosz i S. Niwiński.

CO ROKU, 26 stycznia, w rocznicę wyzwolenia obozu śmierci w Oświęcimiu, odbywa się w naszym mieście, z inicjatywy łódzkiego środowiska byłych więźniów obozu, uroczysty koncert. W bieżącym roku koncert taki odbył się w Łódzkiej Filharmonii. W programie koncertu znalazły się — muzyka i poezja w wykonaniu łódzkich artystów.

W ŚRODĘ 28 i w czwartek 29, w ramach dorocznych Warszawskich Spotkań Teatralnych wystąpił łódzki Teatr Nowy. Łodzianie pokazali sztukę Sławomira Mrożka „Vatzlav" w reżyserii Kazimierza Dejmka.

ŁÓDZKI TEATR 77 wystąpił do wielu teatrów Europy z propozycją przygotowania wspólnej wypowiedzi teatralnej. Tak więc Teatr 77 i zespoły: „Teatr 9" ze Sztokholmu, „Comuna Baires", „Teatro Laboratorio" z Mediolanu, „Hurka" z Budapesztu, „Den Bla Hest" z Danii i „Divadlo na provazku" z Brna przygotowują dla łódzkiej publiczności „Labirynt świata" i „Ład serca" — dzieła wielkiego myśliciela i pedagoga, Jana A. Komensky'ego.

Całość wypowiedzi teatralnej złożona będzie z wystąpień poszczególnych grup teatralnych. Połączone będą jedynie wspólną refleksją nad cywilizacją, kulturą, społeczeństwem, polityką, sztuką i kondycją jednostki we współczesności. Prapremiera widowiska, którego tytuł brzmi „Razem", odbędzie się w Łodzi, podczas Łódzkich Spotkań Teatralnych. Wcześniej jednak, bo już latem w Mediolanie, zespoły spotkają się, żeby opracować praktycznie ostateczny kształt przedstawienia.

2 LUTEGO, w Centrum Kultury Włókniarzy „Dąbrowa", odbyła się premiera przedstawienia „Księżniczka na ziarnku grochu", w wykonaniu Teatru WIEM. Spektakl, osnuty na motywach znanej bajki Christiana Andersena, adresowany jest także do widzów dorosłych.

W WARSZAWIE, 1 lutego, zakończyło obrady XXI walne zebranie członków Związku Kompozytorów Polskich. Wybrano nowe władze ZKP, prezesem ZG ZKP został dr Józef Patkowski. Zjazd przyjął wnioski i uchwały dotyczące różnych zagadnień kultury muzycznej w Polsce.

W KLUBIE ŚRODOWISKA KULTURY ŁDK, w poniedziałek, 26 stycznia, odbył się przegląd filmów M. Łozińskiego. Wszystkie filmy zrealizowano w Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Widzowie mogli obejrzeć m.in. „Happy end", „Wizytę", „Zderzenie czołowe" „Próbę mikrofonu" i „Egzamin dojrzałości".

W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI odbyło się spotkanie z twórczością Zbigniewa Bochenka. Spotkanie połączono z pokazem filmów: „Passacaglia na Kaplicę Zygmuntowską" „Picasso raz jeszcze", „Polifonia ze Starego Sącza" „Warstwy czasu", „O polskość śląskiej ziemi".

PO KILKULETNIEJ przerwie wznowił swoją działalność piotrkowski Dyskusyjny Klub Filmowy. 29 stycznia, w sali widowiskowej odbyła się pierwsza projekcja. Pokazano film S. Eisensteina „Niech żyje Meksyk".

Organizatorzy DKF stawiają sobie bardzo ambitne zadania. Pragną przede wszystkim zaprosić do współpracy jak największe grono osób. Chcą, aby wyświetlane u nich były filmy przeznaczone tylko do rozpowszechniania w kinach studyjnych oraz filmy przedpremierowe, zarówno polskie jak i zagraniczne. Jednocześnie planuje się prezentację najwybitniejszych osiągnięć światowego kina a także dorobek młodych twórców — słuchaczy i absolwentów PWSTFiTv w Łodzi. Do udziału w dyskusjach zapraszani będą historycy kina, reżyserzy, aktorzy i krytycy filmowi.

W ZAKŁADACH „VIGOPRIM" (ul. Łakowa 3/5), 15 lutego, o godz. 10, odbędzie się aukcja dzieł polskiej sztuki nowoczesnej. Aukcję poprzedzi czynna już od 7 lutego wystawa. Inicjatorami i organizatorami aukcji są TKZ NSZZ „Solidarność" przy PCzZg „Vigoprim" (kolekcjonerzy: Adam Paczkowski i Radosław Sowiak). Całkowity dochód z aukcji przeznaczony zostanie na cele MKZ NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej.

W OŚRODKU PROPAGANDY SZTUKI w Parku im. Sienkiewicza czynna jest wystawa malarstwa J. Skrobińskiego.

GALERIA BAŁUCKA zaprasza na wystawę grafiki A. Aksinina.

W ŚWIĄTECZNY NUMERZE „Odgłosów" pisaliśmy o historii i przyszłości Panoramy Racławickiej. Po tej publikacji dostaliśmy wiele listów z pytaniem o numer konta, na jakie można by było wpłacać pieniądze przeznaczone na odnowienie i konserwację dzieła. Numer ten jest następujący: Narodowy Bank Polski, I Oddział we Wrocławiu, nr 93015-2570-132.

Dary pieniężne w walutach obcych można przekazywać na konto: Narodowy Bank Polski, I Oddział we Wrocławiu, nr 93015-192819-151-6787

W KAŻDĄ PIERWSZĄ niedzielę miesiąca odbywać się będą giełdy sprzętu fotograficznego. Giełdy organizowane są z inicjatywy „Foto-Klubu 77", działającego przy Akademickim Ośrodku Kultury „Siódemki". Zapraszamy miłośników fotografii.

OCENA SYTUACJI

Kolejne Plenum Komitetu Łódzkiego partii odbyło się 30 stycznia. Zwołane w trybie pilnym obradowało także w niecodziennych okolicznościach. W tym samym czasie toczyły się rozmowy rządu z „Solidarnością", zakończone w godzinach wieczornych następnego dnia; trwał strajk generalny na południu kraju; w Łodzi strajk okupacyjny studentów Uniwersytetu Łódzkiego rozszerzył się na Politechnikę i Akademię Medyczną. Nic więc dziwnego, że ciśnienie tych wszystkich wydarzeń, rosnące stale od początku roku, mocno determinowały postawy i wyrażane poglądy. Łatwo można zżymać się, że ostatnie konfrontacje wynikłe z różnicy ocen realizacji umów społecznych wynikają z całości złożonej sytuacji, w jakiej znajdujemy się od sierpnia ub. roku (pisałem o tym w komentarzu „7 dnia na dzień" w poprzednim numerze), że w znacznym stopniu można je było przewidzieć, a nawet wyjść im naprzeciw. Jednak dystansowanie się od aktualnych wydarzeń nie może być cechą działaczy średniego i niższych szczebli. Trudno zachować filozoficzny spokój, kiedy każdy dzień zmusza do stawania twarzą w twarz z wydarzeniami, które niepokoją, oburzają, dziwią, powodując frustracje, a niekiedy poczucie zagubienia w chaosie nieskoordynowanych poczynań.

Taki stan rzeczy sprzyjał postawom emocjonalnym, reakcjom spontanicznym i aż nadto zdecydowanym. Padały ostre słowa i surowe sądy, które nie oszczędziły ani centralnych władz partyjno-rządowych, ani KKP „Solidarności" i jej ogniw terenowych. Trudno byłoby nawet w krótkim komentarzu przytoczyć wszystkie pretensje do „stron", wyszczególnili je dokładnie sprawozdawcy gazet codziennych. Poprzestańmy więc na refleksji o charakterze ogólniejszym.

Nie sposób jednak tego uczynić bez skrótowego choćby zarysowania stosunku aktywu partyjnego do ostatnich posunięć NSZZ „Solidarność", który na pewno trzeba oddzielić od konkretnych zarzutów, jakie zgłoszono... A więc: brak poczucia odpowiedzialności za losy kraju, demagogia postulatów nie uwzględniających ciężkiej sytuacji kraju i łączenie jej z żądaniami o charakterze politycznym nieprzestrzeganie przepisów prawa łącznie z nierespektowaniem własnego statutu, ślepe podporządkowanie się dyktatowi MKZ bez jakiejkolwiek konsultacji z masami członkowskimi, stosowanie metod psychicznej presji wobec ludzi inaczej myślących, skłócanie i dzielenie załóg. Do listy mógłbym jeszcze dołączyć dziesiątki przykładów, z drastycznymi włącznie.

W tym miejscu dodam od siebie, że trzeba dostrzec różnice między ideą niezależnego, samorządnego ruchu zawodowego, jako pozytywnego, socjalistycznego elementu dzieła odnowy, a jego niedoskonałą praktyką czy nawet wynaturzeniami. Tak, niestety, jest, takie są fakty. Elementy antysocjalistyczne przenikające do kierownictwa KKP i MKZ oraz radykalno-anarchistyczne grupki w samej „Solidarności" prą do konfrontacji z rządem, podejmują próby przetargów politycznych połączonych z szantażem strajku generalnego, spychają związek na pozycję partii opozycyjnej, dążą do dwuwładzy w państwie. To wszystko rozgrywa się metodami przypominającymi najczarniejsze okresy przeszłości: manipulowaniem bez skrupułów dobrą wolą milionowych mas członkowskich, arbitralnym narzucaniem woli grupy kierowniczej, bezwzględnym wykorzystywaniem dla celów ukrytej gry lojalności i zaufania członków ruchu dla swojego związku.

Odnosi się jednak wrażenie, że na istniejący stan rzeczy miał wpływ także sposób, w jaki rząd realizował podpisane porozumienia z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia. Już wcześniej, z wielu stron padły zarzuty pod adresem rządu i części jego przedstawicieli o arbitralności, niedostatku konsultacji, braku elastyczności, o wielu niedopatrzeniach i niezręcznościach. Na plenum doszły dalsze: o braku zdecydowania, jasnego stanowiska, jawności negocjacji i alternatywy programowej, a nawet zwykłej nieudolności i opieszałe reagowanie na żądania oddolne. Członkowie plenum KŁ byli więc surowi dla obu stron, przyznając, że zarówno związek uniemożliwia normalne funkcjonowanie rządu, jak i domagając się jego rekonstrukcji i konieczności przejęcia inicjatywy. Szczególnie ostro wypowiedziała się na ten temat Jadwiga Nowakowska z „Feminy", członek KC. Jak te decyzje „góry" rzutują na działanie na szczeblu zakładu, mówiło wielu towarzyszy. Nie ukrywano, że wielekroć stawiają one aktyw partyjny w trudnej sytuacji, jak ktoś nawet określił: na granicy ideowo-moralnego rozdarcia, w konflikcie obowiązku i zasad wspólnoty działania z całą załogą.

Postulowano wiele środków zaradczych, a głównie wypracowanie jednolitego i jasnego stanowiska wobec aktualnej sytuacji. Wyrażano konieczność szybkiego zwołania VIII Plenum Komitetu Centralnego, aktywizacji przygotowań do IX Zjazdu, szerszej informacji o pracach Komisji Zjazdowej, zgłoszono rezolucję i domagano się odpowiedzi w sprawie wcześniej zgłoszonych wniosków przez organizacje podstawowe.

Wymienione powyżej sprawy narzuciły ton dyskusji, ale nie dominowały. I słusznie. Chodziło przecież przede wszystkim o wojewódzkie podwórko, za co instancja odpowiada bezpośrednio i ma obowiązek zaradzenia w potrzebie. I tu trzeba było wpierw rozejrzeć się we własnych szeregach. Jak stwierdził I sekretarz KŁ, Tadeusz Czechowicz, od sierpnia 80 r. do końca stycznia br. odeszło z szeregów partii około 6 tys członków partii i kandydatów, tj. 5,1 proc. W większości są to robotnicy, przeważnie ci, których „zwerbowano" w ostatnim 5-leciu w ramach budowy 3-milionowej partii. Fakty te oceniono raczej pozytywnie, podkreślając, że siła partii nigdy nie polegała na jej liczebności, lecz zwartości i ideowości jej członków. WKKP w ostatnich dwóch kwartałach rozpatrzyła około 500 spraw, w tym nadal dużo sygnałów anonimowych. Tak samo wszędzie tam, gdzie POP sobie tego życzyły, odbyły się wybory nowych egzekutyw i komitetów zakładowych. Akcja ta miała charakter ograniczony do kilkudziesięciu przypadków, co można traktować jako dowód zaufania dla dotychczasowych partyjnych przedstawicielstw. Zwrócono także uwagę na potrzebę odbudowania od podstaw systemów pracy politycznej, na konieczność odrobienia poważnych zaległości z minionego okresu, w którym dokonano ideologicznego rozbrojenia partii. Dobrą okazją jest w tej mierze szeroka dyskusja przedzjazdowa obejmująca cały wachlarz spraw wewnątrzpartyjnych i funkcjonowania partii w społeczeństwie. Podkreślano, że ma ona autentyczny, oddolny charakter, bogaty w przemyślenia i twórczy. Nie brak w tych dyskusjach kontrowersji o przyszłe pryncypia, nawet wniosków dalekich od realizmu, ale nikt już nie zgłaszał zarzutów frakcyjności czy rozbijania statutowych struktur, choć do niedawna nie brakowało takich głosów przy okazji innych spotkań aktywu. (Na marginesie trzeba odnotować pozytywną w tej sprawie rolę pionu ideologicznego KŁ).

Stwierdzono poważne zaniedbania czy nawet załamanie się koncepcji pracy z młodzieżą, słabości wręcz immanentne organizacji młodzieżowych, w ramach których młodzież nie znajduje możliwości realizowania swych aspiracji. Zabrzmiało to szczególnie wymownie w kontekście wydarzeń na Uniwersytecie. A nie od dziś wiadomo, że środowisko studenckie jest przedmiotem szczególnego zainteresowania grup antysocjalistycznych i konfrontacja ideowo-polityczna na tym obszarze ma już miejsce i niewątpliwie będzie się nasilać. Stanowisko Komitetu Uczelnianego i władz uczelni spotkało się ze zrozumieniem. Zresztą dzięki wzorowej informacji telewizyjnej ŁOT całe społeczeństwo miało na bieżąco wgląd w rozwój wydarzeń.

Wbrew zamysłowi wszedłem w szczegółowe problemy. W owej wielogodzinnej, namiętnej dyskusji w dniu 30 stycznia ważniejszy od konkretów był wyrażony w każdym prawie wystąpieniu akt woli aktywu partyjnego sprostania wymaganiom dnia dzisiejszego i przyszłości. Dobitnie została zamanifestowana zwartość szeregów, zdecydowanie nieuginania się przed trudnościami, konieczność ofensywnej walki politycznej jak i też szerokiego pozyskiwania sojuszników dla celów nakreślonych przez partię. Dla pełnej jasności sytuacji zasadnicze znaczenie miało wystąpienie członka Biura Politycznego, Stefana Olszowskiego. Sekretarz KC „spiął" w całość wiele spraw pozornie od siebie odległych, dochodząc do przekonywających ocen i wynikających z nich zasad działania na przyszłość. Jak rzadko kiedy w przeszłości słowa przedstawiciela centrali spotkały się z tak żywą aprobatą zebranych. Widać było, jak ten pomost wzajemnego porozumienia był oczekiwany i jak jest potrzebny. Dla codziennej, trudnej i mozolnej, często niewdzięcznej, ale — miejmy nadzieję — że z każdym dniem coraz bardziej skutecznej pracy wojewódzkiej organizacji partyjnej.

JERZY WAWRZAK

TYDZIEŃ W POLITYCE

Tydzień bogaty był w wydarzenia. Nie o wszystkich można pisać w krótkim przeglądzie. Dlatego też zwrócimy uwagę Czytelników na niektóre, rozpoczynając od pierwszych konferencji prasowych prezydenta Reagana i sekretarza stanu Haiga.

Nowy szef państwa amerykańskiego wiele miejsca poświęcił polityce wewnętrznej USA — walce z inflacją i drogom uzdrowienia gospodarki. Na pytania dotyczące polityki zagranicznej wypowiadał się skąpo, raczej powtarzając to co znane jest już z przemówień przedwyborczych. I tak podkreślił ponownie potrzebę i wagę dialogu ze Związkiem Radzieckim, chociaż równocześnie zauważył, że rokowania SALT II były zbyt ograniczone.

Bardziej otwarty był sekretarz stanu — A. Haig. Wyznał bowiem, że polityka nowej administracji jest w stadium formowania i wiele problemów jest nadal tematem analiz i rozważań. A więc również jego wypowiedzi nie mogą być jeszcze traktowane jako wyraz wypracowanej już linii polityki zagranicznej. W kwestii stosunków ze Związkiem Radzieckim powiedział, że nowa administracja jest za kontynuowaniem wymiany poglądów i informacji kanałami dyplomatycznymi, powstrzymał się natomiast od odpowiedzi, czy i kiedy może dojść do spotkania na najwyższym szczeblu. Sprawę — dodał — obecnie rozważa się.

Fragment swej wypowiedzi poświęcił dialogowi rozbrojeniowemu, który powinien być kontynuowany. Zasięg tych rozmów i tematykę administracja amerykańska chce jednakże uzależnić od stanu bezpieczeństwa USA i posunięć polityki zagranicznej ZSRR.

Haigowi zadano także pytanie, dotyczące sytuacji w Polsce. Z odpowiedzi na nie dowiedzieliśmy się, że rozwój wydarzeń w naszym kraju jest bardzo uważnie obserwowany. Rząd amerykański stoi na gruncie oświadczeń grudniowej narady ministrów państw NATO, będzie nadal udzielać pomocy Polsce, ale złożone problemy kraju mogą rozwiązać sami Polacy i rząd poprzez niezbędne reformy.

W innym fragmencie konferencji omawiał sytuację na Bliskim Wschodzie, powrócił akceptująco do porozumień egipsko-izraelskich z Camp David, zastrzegając jednak, że administracja wypracuje niektóre elementy własnego stanowiska. Jest to, jak gdyby zapowiedź pewnej modyfikacji bliskowschodniej polityki Stanów Zjednoczonych.

Innym wydarzeniem tygodnia jest zakończenie szczytu islamskiego, o celach którego już na tym miejscu pisaliśmy.

Głównym dokumentem szczytu jest Deklaracja Mekkańska, w której stwierdza się, że wyzwolenie okupowanych przez Izrael terytoriów arabskich jest „podstawowym zadaniem obecnego pokolenia". Wycofanie wojsk izraelskich i przyznanie Polestyńczykom, reprezentowanym przez OWP, należnych im praw jest jedyną drogą trwałego rozwiązania konfliktu. Dokument odrzuca porozumienia z Camp David i zobowiązuje 37 państw, które w szczycie uczestniczyły, do udzielenia materialnej i militarnej pomocy Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Dokument zawiera i inne postanowienia: bojkotu firm, które handlują z Izraelem, sankcji wobec państw, które uznają Jerozolimę za stolicę Izraela i zobowiązanie zerwania stosunków dyplomatycznych z Tel Awiwem przez te państwa muzułmańskie, które stosunki jeszcze utrzymują. Decyzje są więc stanowcze, ostrzejsze niż przewidywano w wielu kołach politycznych.

Uczestnicy konferencji wezwali Iran i Irak do przerwania walk w trybie natychmiastowym i wyłonili 8-osobowy komitet mediacyjny. Wypowiedzieli się za politycznym rozwiązaniem problemu afgańskiego i neutralizacją takich regionów, jak: Ocean Indyjski, Morze Czerwone, Zatoka Perska i Morze Arabskie.

Pierwsze reakcje światowe podkreślają wagę szczytu islamskiego i jego następstwa w polityce wielu krajów.

Trzeci wybrany do przeglądu temat — to dymisja premiera Hiszpanii — A. Surreza. Może ktoś powiedzieć — to wewnętrzna sprawa tego kraju. Ale pewnie z dużymi następstwami, ponieważ jest to pierwszy kryzys polityczny w erze pofrankistowskiej.

Suarez krytykowany był ostatnio za nieudolność gabinetu i złą sytuację kraju. Krytyka wychodziła nie tylko z kręgów opozycyjnych, lecz również z szeregów jego partii.

W Madrycie, w wytworzonej sytuacji, bierze się pod uwagę kilka następstw dymisji: powierzenie misji utworzenia nowego rządu któremuś z reprezentantów prawego skrzydła UCD, co jednak mogłoby być równoznaczne z rozpadem partii i powstaniem nowych sojuszów, długotrwały kryzys polityczny, a także — o czym piszą niektórzy komentatorzy — przejęcie władzy przez armię.

I właśnie dlatego, że najprawdopodobniej nie będzie to tylko zastąpienie jednego polityka drugim — warto przypatrywać się rozwojowi wydarzeń w Hiszpanii.

W. SŁAWSKI

OŚWIADCZENIE

W związku z aktualną sytuacją zaistniałą w toku prowadzenia rozmów przez Komisję Międzyresortową z przedstawicielami strajkujących studentów łódzkich uczelni oraz w związku z wypowiedziami ministra Górskiego w telewizyjnych wystąpieniach lokalnych i ogólnopolskich NSZZ „Solidarność" w UŁ wyraża kategoryczny protest przeciwko postawie ministra Górskiego. Wypowiedzi ministra dyskredytują uczelnię oraz kadrę naukowo-dydaktyczną, a z drugiej strony są próbą ośmieszenia akcji protestacyjnej studentów. Stawia to pod znakiem zapytania rolę prof. Górskiego jako wychowawcy młodzieży i nauczyciela akademickiego.

Stanowczo protestujemy przeciwko prezentowaniu opinii publicznej poglądów tylko jednej ze stron. Domagamy się bezzwłocznego zapoznania opinii publicznej z najistotniejszymi postulatami studentów. Wyrażamy poważne zaniepokojenie sposobem prowadzenia rozmów ze studentami, jak również dyskredytującym prezentowanie niektórych postulatów studenckich przez ministra Górskiego w kolejnych wypowiedziach telewizyjnych. Kategorycznie protestujemy przeciwko sugestiom, iż strajk studentów, ich postulaty oraz działania ekspertów były wynikami inspiracji z zewnątrz. Przypominamy, iż akcja protestacyjna studentów zyskała szerokie poparcie pracowników UŁ, wyrażone w uchwałach KU PZPR, UK SD, KZ NSZZ „Solidarność" i RZ ZNP.

Nie ma konfliktu pomiędzy pracownikami uniwersytetu a studentami, spór dotyczy postulatów, które może zrealizować tylko resort. Wbrew oświadczeniu ministra, uniwersytety nie były i nie są autonomiczne, czego dowodem jest dyskusja nad modelem szkoły wyższej. Pracownicy naukowi i studenci walczą o to samo — o samorządny i autonomiczny uniwersytet.

Oburzył nas sposób rozpoczęcia rozmów przez ministra, a przede wszystkim to sformułowanie, w którym wyraził on publicznie swoją obojętność wobec faktu strajku. Wyjaśniamy, że udział studentów w wykładach organizowanych przez pracowników uczelni oraz odbywających się akcjach kulturalnych nie ma nic wspólnego — jak sugeruje minister Górski — z rodzajem „imprezy rozrywkowej, swoistego show". Postawa studentów w ciągu całej akcji i w toku rozmów zasługuje na uznanie.

Wyrażamy wątpliwość, czy dalsze negocjacje z udziałem ministra Górskiego jako przewodniczącego Komisji Międzyresortowej szybko doprowadzą do porozumienia. Uważamy, że najlepsza forma protestu wobec postawy ministra Górskiego byłby strajk solidarnościowy pracowników UŁ. Z uwagi na decyzje KKP NSZZ „Solidarność" podjętą 1.02.81 r. i ogólną sytuację w kraju ograniczamy się do zdecydowanego protestu w formie publicznego oświadczenia.

KOMISJA ZAKŁADOWA
NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" W UŁ

Łódź, 2 lutego 1981 r.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

SAMODZIELNOŚĆ I SAMORZĄDNOŚĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

są konsekwencją anachronicznego systemu planowania i zarządzania opartego na centralizacji i biurokratyzacji procesów gospodarczych. System ów zrodził wiele anomalii w funkcjonowaniu przedsiębiorstw. Wyrażają się one szczególnie w:

— ocenie przedsiębiorstw na podstawie wykonania krótkookresowych planów dyrektywnych (rocznych, kwartalnych), co w istocie rzeczy przekreśla planowy rozwój przedsiębiorstw i utrudnia wrowadzanie innowacji techniczno-organizacyjnych;

— słabej adaptacyjności przedsiębiorstw do szybko zmieniających się warunków gospodarowania, która ogranicza pełne wykorzystanie rezerw wewnętrznych, zmiany technologii i najlepsze dostosowanie produkcji do potrzeb odbiorców;

— zdegenerowaniu motywacji do dobrej i efektywnej pracy i rozluźnieniu związków między pracą a wynagrodzeniem, czego przyczyny tkwią głównie w rozwiązaniach systemowych, dotyczących zarówno polityki płac, jak i czynników kształtujących dochody pozapłacowe (np. przywileje);

— zaniku autentycznego uczestnictwa załóg pracowniczych w zarządzaniu i ceremonialności samorządu robotniczego, przede wszystkim Konferencji Samorządu Robotniczego.

Tak sformułowane wady dotychczasowego systemu zarządzania przedsiębiorstwami pozwalają stwierdzić, że w systemie tym utraciły one swoje elementarne atrybuty: samodzielność i samorządność.

II

Dotychczasowy dorobek w zakresie prac nad projektem reformy gospodarczej oraz tocząca się ogónokrajowa dyskusja upoważniają do wysnucia wniosku, że **główny kierunek przeprowadzanej reformy polegać musi na zasadniczym umocnieniu pozycji i uprawnień przedsiębiorstw.** Samodzielność i samorządność przedsiębiorstw w ustawowo określonych granicach i przy ustalonych zasadach ich działania leży w interesie ogólnospołecznym. W inny sposób nie można wyzwolić inicjatyw i kreatywności ludzi — podstawowego źródła efektywności ekonomicznej, jak również nie można zaspokoić pozamaterialnych aspiracji naszego społeczeństwa. Takie jest stanowisko polskich ekonomistów, wyrażone w opracowanym przez **Polskie Towarzystwo Ekonomiczne** dokumencie pt. **„Propozycje zasadniczych rozwiązań reformy gospodarczej w Polsce".** Projekt reformy przygotowany przez PTE zawiera wiele ciekawych propozycji w kwestii modelu przedsiębiorstwa socjalistycznego. Propozycje te odnoszą się do struktury organizacyjnej przedsiębiorstwa, systemu ekonomiczno-finansowego ze szczególnym uwzględnieniem funduszu wynagrodzeń, bezpośrednich narzędzi w zarządzaniu przedsiębiorstwem oraz samorządności pracowniczej. Ze względu na wagę i kontrowersyjny charakter niektórych propozycji potrzebna wydaje się ich popularyzacja i krytyczny osąd.

Podstawą zmian funkcjonowania przedsiębiorstw są przekształcenia w w istniejących strukturach podmiotowych. Nie powinny być w tej dziedzinie stosowane żadne szablonowe rozwiązania. W zależności od konkretnych warunków techniczno-organizacyjnych, bytowych, bazy surowcowej itd. uzasadnione może być tworzenie przedsiębiorstw bardzo dużych, grupujących wiele zakładów, przedsiębiorstw średniej wielkości, a także przedsiębiorstw małych. I tak w gałęziach produkcji silnie związanych z postępem naukowo-technicznym skala przedsiębiorstw powina być dostatecznie duża, aby umożliwić rozwijanie własnych badań i efektywne wdrożenie osiągnięć nauki i techniki. W gałęziach takich, jak energetyka czy górnictwo węgla można uznać za celowe grupowanie zakładów w wielkie organizacje typu koncernowego. Należy zaznaczyć jednak, że te monopolistyczne organizacje byłyby powoływane tylko w wyjątkowych przypadkach — gwarantujących najoszczędniejszą gospodarkę energią i surowcami. W dziedzinach związanych z bezpośrednim zaspokajaniem potrzeb ludności (przemysły konsumpcyjne) **nie należy dążyć do przymusowego grupowania przedsiębiorstw w zjednoczenia posiadające charakter monopoli.** Obszar ten należy oddać pod panowanie średnich i małych przedsiębiorstw, konkurujących między sobą o pozycję na rynku.

W niektórych dziedzinach np. w sferze badawczo-rozwojowej można tworzyć tzw. **organizacje użyteczności.** Różnią się one tym od przedsiębiorstw, że wynik finansowy nie jest w nich nadrzędnym miernikiem oceny i kryterium wyboru tematów badawczych.

Istnieją również możliwości, aby obok przedsiębiorstw państwowych funkcjonowały **przedsiębiorstwa komunalne, oparte na własności komunalnej.** Przedsiębiorstwa te mogłyby działać w sferze tradycyjnie należącej do gospodarki komunalnej, jak również w zakresie drobnej wytwórczości i usług.

Godna uwagi jest propozycja odrzucenia zasady tzw. „czystości branżowej" przedsiębiorstw. W związku z tym nie powinny istnieć żadne reguły zabraniające przedsiębiorstwom jednej branży podejmowanie produkcji z innych branż, jeżeli będzie ona zgodna z racjonalnością społeczną i poprawi efektywność gospodarowania środkami, którymi dysponuje przedsiębiorstwo.

Przedstawione wyżej propozycje rozwiązań organizacyjnych nie wykluczają państwowego nadzoru i ingerencji. W wypadku powstania szkodliwych społecznie monopoli organy państwowe powinny zmienić struktury podmiotowe z własnej inicjatywy. Zasady i granica regulacji państwowej w tej dziedzinie powinny zostać określone w nowej ustawie o przedsiębiorstwach i organizacjach gospodarczych, którą należy uchwalić w 1981 r.

Oceniając przytoczone rozwiązania można wyciągnąć wniosek, że podstawową ich zaletą jest przyjęcie zasady różnorodności form organizacyjnych przedsiębiorstw. Stanowi to próbę przezwyciężenia jednostronnego traktowania struktur podmiotowych opartych w latach siedemdziesiątych głównie na wielkich organizacjach gospodarczych (tzw. WOG). Fascynacja wielkimi organizacjami spowodowała wiele strat w naszej gospodarce, gdyż przyczyniła się między innymi do likwidacji małych przedsiębiorstw.

III

W kwestii określenia podstaw systemu ekonomiczno-finansowego przedsiębiorstw PTE proponuje przyjęcie następujących czterech zasad:

— samodzielności w podejmowaniu decyzji ekonomicznych — eksploatacyjnych, rozwojowych, płacowych, itp.,

— nadrzędnej roli wyniku finansowego (zysku, produkcji czystej, dochodu czystego), dającego przedsiębiorstwu orientację ekonomiczną działalności,

— samofinansowania działalności eksploatacyjnej i rozwojowej,

— samodzielności w tworzeniu motywacji na rzecz rzetelnej i wydajnej pracy, przedsiębiorczości i aktywności innowacyjnej.

Samodzielność przedsiębiorstwa w sferze decyzji ekonomicznych stanowi kamień węgielny postulowanego systemu funkcjonowania całej gospodarki. Należy jednak pamiętać, że w najbliższych latach, w których gospodarkę cechować nadal będą ostre napięcia rynkowe, wzrastające zadłużenie za granicą i brak cen równowagi na wielu rynkach, samodzielność ta będzie musiała ulegać pewnym ograniczeniom. Natychmiastowe wprowadzenie szerokiego zakresu samodzielności przedsiębiorstw w warunkach reglamentacji dóbr zaopatrzeniowych i wadliwego układu cen byłoby czystą fikcją.

Przesłanką wzrostu samodzielności przedsiębiorstwa jest stosowanie zasady samofinansowania jego działalności eksploatacyjnej i rozwojowej. Istota tej zasady polega na tym, że z dochodów osiąganych ze sprzedaży swej produkcji bądź świadczonych usług przedsiębiorstwa pokrywają (po uprzednim dokonaniu spłaty zobowiązań i należności wobec państwa), swoje materialne wydatki, wynagrodzenia dla pracowników oraz wydatki na dalszy rozwój.

Kluczowym elementem systemu ekonomiczno-finansowego jest sposób tworzenia funduszów wynagrodzeń w przedsiębiorstwach. Należy przeto wypracować taki sposób, który będzie uwzględniał: silny i przejrzysty związek wzrostu wynagrodzeń ze wzrostem efektywności gospodarowania, warunki socjalne i aspekty egalitarne, wzrost cen detalicznych i kosztów utrzymania.

Założyć można, że **samodzielnemu przedsiębiorstwu najlepiej odpowiada tworzenie funduszu na zasadzie swobodnego dysponowania przez załogę wygospodarowanym dochodem.** Tak więc wszystkie fundusze: płac, socjalny i rozwojowy uzależnione są w tym rozwiązaniu od wyników finansowych przedsiębiorstwa. Na proporcje podziału organy centralne wpływają pośrednio za pomocą instrumentów finansowych, np. progresywnego opodatkowania dochodów, jeżeli wzrost średniej płacy przekracza ogólnie ustaloną wielkość progową. Obecnie i w początkowym stadium reformy proponowane rozwiązanie nie wydaje się realne. W istniejącej sytuacji ogólnego chaosu i ostrych dysproporcji gospodarczych nie sposób obarczać załóg pełną płacową odpowiedzialnością za efekty ekonomiczne przedsiębiorstwa. Dlatego też konieczne staje się przyjęcie rozwiązań przejściowych.

W związku z rozbieżnością poglądów na ten temat PTE proponuje dwa warianty rozwiązań. **Pierwszy** stanowi zmodyfikowane rozwiązanie WOG, polegające na zintegrowaniu funduszu wynagrodzeń z produkcją czystą przy zastosowaniu różnicowanych norm elastyczności bądź udziału. **Drugi** wariant zakłada podział funduszu wynagrodzeń na część niezależną od wyników finansowych organizacji, powiązaną planowo ze wskaźnikiem kosztów utrzymania oraz część zależną od tych wyników, tworzącą czynnik motywacji ekonomicznej. W regulacji obu tych części wykorzystywany jest wskaźnik średniej płacy, a nie kwoty funduszu płac.

Każdy z omawianych wariantów ma swoje zalety i wady. Można jednak zaryzykować pogląd, że koncepcja druga jest lepsza od pierwszej. Podstawowym argumentem przemawiającym na rzecz tej koncepcji jest ułomność koncepcji pierwszej polegającej na uznaniowej i przetargowej procedurze ustalania norm elastyczności. Wpływa to negatywnie na efektywność gospodarowania przedsiębiorstwa. Koncepcja druga ma również swój mankament, którym jest niebezpieczeństwo powstania skłonności do nieracjonalnego zatrudnienia. Skłonność tę można jednak skutecznie osłabić za pomocą zależnego wzrostu płac, sytemu oceny kadr kierowniczych itp.

Bardzo istotną zaletą koncepcji drugiej jest możliwość spójnego powiązania wzrostu cen i kosztów utrzymania ze wzrostem średniej płacy (tzw. mechanizm indeksacji). Przy nieuchronnym wzroście ogólnego poziomu cen detalicznych oraz kosztów utrzymania jest to niezwykle ważna propozycja. Rzecz dotyczy indeksacji opartej na zaakceptowanych przez społeczeństwo wskaźnikach wzrostu płac i kosztów utrzymania zawartych w narodowym planie społeczno-gospodarczym.

Wiele kontrowersji i wątpliwości wzbudzą z pewnością dwie interesujące propozycje PTE dotyczące zasadniczych zmian w systemie ekonomiczno-finansowym przedsiębiorstwa, a mianowicie: uelastycznienie gospodarownia siłą roboczą i wprowadzenie, w bezpośrednim związku z zasadą samofinansowania, **zasady upałości przedsiębiorstw.**

Zwiększenie elastyczności w gospodarowaniu siłą roboczą ze względu na ograniczenia społeczno-polityczne jest problemem niezwyke trudnym i drażliwym. Możliwe są tu dwa podstawowe rozwiązania.

Pierwsze rozwiązanie uwydatnia znaczenie motywacji ekonomicznych, skłaniających do zwalniania nadwyżek zatrudnionych i niedopuszczenia do ich powstania. Ukształtowanie się tych motywacji wymaga: zniesienia limitów zatrudnienia, uzależnienia wzrostu zarobków od likwidacji przerostów zatrudnienia i ograniczenia dotacji na pokrycie niedoborów finansowych przedsiębiorstw. Zasady te muszą mieć charakter trwały w celu wykształcenia nowych postaw przedsiębiorstw i załóg w dziedzinie wykorzystania siły roboczej. Konieczne jest również silne zaangażowanie społeczne ze strony organów przedstawicielskich — samorządu robotniczego, Sejmu i rad narodowych.

Drugie rozwiązanie proponuje uwolnienie zakładów pracy od obowiązku zapewnienia zwalnianym luziom akceptowanych przez nich miejsc pracy. Zamiast tego wprowadzić należy zasiłki na przekwalifikowanie i usprawnić służby pośrednitwa pracy.

Przedstawione rozwiązania mają duże znaczenie dla wzmocnienia motywacji dobrej pracy, które uległy w ostatnim czasie dalszemu osłabieniu. **Nie zmierzają one, wbrew powierzchownym domysłom, do wprowadzenia zasady bezrobocia w naszej gospodarce.** Za istniejące dysproporcje gospodarcze nie można winić przedsiębiorstw i karać ich zwolnieniami pracowników. Polityka gospodarcza powinna owe dysproporcje usunąć, aby przywrócić przedsiębiorstwom zdolność do racjonalnego działania. Dopiero w tych warunkach można wymagać od przedsiębiorstw dyscypliny w gospodarowaniu siłą roboczą, co dopuszcza możliwość tzw. bezrobocia frykcyjnego polegającego na tym, że pracownik, który stracił pracę znajdzie ją bez długiego oczekiwania. Notabene w wielu dziedzinach życia gospodarczego i publicznego istnieje chroniczny brak pracowników (budownictwo, rolnictwo, handel, służba zdrowia), który sprawia, że widmo bezrobocia nie grozi polskiej gospodarce.

Konsekwentne realizowanie zasady samofinansowania rodzi **problem upadłości (bankructwa) przedsiębiorstw.** Projekt PTE zawiera postulat, aby już pod koniec pięciolecia 1981—1985, zlikwidować automatyczne pokrywanie finansowych niedoborow przedsiębiorstw przez budżet. Ewentualna pomoc finansowa dla przedsiębiorstw polegająca na udzielaniu ulg podatkowych, dotacji itp. powina być rozstrzygnięta przez organy przedstawicielskie (Sejm, rady narodowe). W sytuacji niezdolności przedsiębiorstwa do wywiązania się ze swoich zobowiązań i braku zgody wierzycieli (władz finansowych, banku kredytującego) na ustępstwa finansowe dopuszcza się postępowanie upadłościowe.

W początkowym stadium reformy zasady samofinansowania muszą być dostosowane do konkretnych warunków panujących w gospodarce. W okresie tym przedsiębiorstwa powinny móc tworzyć fundusze w należnej wysokości, także wówczas, kiedy suma tych funduszów przekracza nadwyżkę ekonomiczną przedsiębiorstwa. Źródłem pokrycia strat i niedoborów byłby oczywiście budżet lub kredyt bankowy. Wzorując się na rozwiązaniach zastosowanych w reformie węgierskiej PTE proponuje, aby władze finansowe żądały od subsydiowanych przedsiębiorstw konkretnego programu poprawy efektywności gospodarowania. Niezadowalający program lub zła jego realizacja powinny powodować sankcje w postaci obniżenia ocen kadr kierowniczych, bądź (i) urzędowej reorganizacji, zmieniającej status jednostki czy nawet jej upadku.

Na marginesie tej koncepcji warto stwierdzić, że przy założeniu efektywnego i skutecznego działania całego systemu gospodarczego bankructwo przedsiębiorstw mieć będzie charakter incydentalny i odnosić się będzie raczej do małych zakładów.

IV

Kapitalne znaczenie dla postulowanego modelu przedsiębiorstwa socjalistycznego ma teza o całkowitej eliminacji dyrektyw jako narzędzi zarządzania. Przedsiębiorstwa samodzielnie budować i zatwierdzać będą swoje plany długookresowe i operatywne, kierując się swoim mikroekonomicznym kryterium, parametrami rynku oraz ogólnie obowiązującymi normami państwowymi. Jednakże wobec dotkliwych braków środków produkcji i dewiz na import zadekretowanie decentralizacji przedsiębiorstwa byłoby czystą iluzją. Należy więc w pierwszym etapie reformy przejściowo stosować dokładnie określoną ilość zadań dyrektywnych i limitów (przydziałów) środków. Powiny być one systematycznie likwidowane w miarę poprawy sytuacji rynkowej i zwiększenia podaży środków produkcji. Proponuje się, aby dyrektywy te dotyczyły:

— limitowania niektórych surowców i materiałów podstawowych o wielobranżowym przeznaczeniu,

— niektórych towarów rynkowych, przede wszystkim standardowych.

— finansowych limitów importowych w obrotach z krajami kapitalistycznymi oraz zadań eksportowych,

— zadań w zakresie znaków jakości wyrobów.

Skuteczne ograniczenie stosowania narzędzi dyrektywnych wymaga gwarancji instytucjonalnych oraz ustawowych. Gwarancje instytucjonalne stanowić mogą: odrodzony samorząd robotniczy, zredukowany do minimum centralny aparat gospodarczy oraz zmiany w strukturze organizacyjnej przedsiębiorstw. Istota gwarancji ustawowej sprowadza się do określenia w nowej ustawie o przedsiębiorstwie granic dyrektywnej ingerencji państwa w działalności przedsiębiorstwa.

V

W gospodarce socjalistycznej przedsiębiorstwa są powiernikami własności ogólnonarodowej, którą powinny zarządzać w sposób samorządny w ramach narodowego planu gospodarczego i ogólnych dyrektyw polityki gospodarczej państwa. Każde rozwiązanie dotyczące organizacji przedsiębiorstw gwarantować musi udział **załóg w zarządzaniu poprzez samorząd robotniczy i działalność związkową.** Szczególnego znaczenia nabiera problem radykalnej zmiany pozycji i zasad działania samorządu robotniczego. W przekonaniu PTE celu tego nie można osiągnąć bez odbudowy rad robotniczych jako decydującego ogniwa samorządu. Rady te posiadają głęboko zakorzenioną tradycję w naszej gospodarce, zapoczątkowaną po 1956 roku. Istnieje pilna potrzeba wskrzeszenia tej chlubnej tradycji samorządności i potraktowania jej jako koniecznego elementu demokratyzacji gospodarki.

Projekt PTE zawiera postulat, aby uprawnienia samorządu obejmowały wszystkie decyzje i inicjatywy przedsiębiorstwa, które są istotne dla funkcjonowania i rozwoju zakładu pracy oraz mogą być kompetentnie podejmowane przez samorząd. Zakres inicjatywnych, opiniodawczych i kontrolowanych funkcji samorządu powinien być nieograniczony. **W sprawach kadrowych decyzje organów zwierzchnich dotyczące nominacji na stanowiska kierownicze powiny podlegać akceptowaniu przez samorząd.**

Najważniejszym aspektem działalności samorządu powinien być czynny udział w opracowywaniu autonomicznego planu przedsiębiorstwa. Decyzje samorządu w zakresie zadań produkcyjnych przedsiębiorstwa, płac i świadczeń pozapłacowych, przedsięwzięć rozwojowych oraz powiązań z odbiorcami i dostawcami krajowymi i zagranicznymi, stałyby się fundamentem planu działania przedsiębiorstwa. W tym nowym układzie sił wewnątrz przedsiębiorstwa kadra kierownicza występowałaby coraz konsekwentniej w roli sztabu i organu wykonawczego samorządu.

Zarysowane w projekcie PTE propozycje w kwestii podniesienia rangi i znaczenia samorządu robotniczego w przedsiębiorstwie, jakkolwiek słuszne w sensie intencji i ogólnych założeń, nie mogą być uznane za zadowalające. Przede wszystkim propozycje te są zbyt ogólne, nieomal hasłowe. Już pobieżna analiza pozwala dostrzec brak konsekwencji w określeniu zakresu uprawnień samorządu. Można wysnuć wniosek, że w projekcie wyeksponowano inicjatywną, opiniodawczą i kontrolną funkcję samorządu. Wobec tego rodzi się podstawowe pytanie o zakres funkcji decyzyjnej samorządu robotniczego. Sformułowania zawarte w projekcie nie pozwalają na udzielenie jasnej i zdecydowanej odpowiedzi. Podobne niejasności rodzi problem uprawnień samorządu w dziedzinie powoływania dyrektorów i kadr kierowniczych. Rola samorządu nie powinna się sprowadzać tylko do opiniowania kandydatów typowanych przez szczebel wyższy. Wydaje się, że samorząd sensu stricto powinien w pełni autonomicznie **rozstrzygać sprawę wyboru dyrektora i obsadzania stanowisk kierowniczych.** Otworzy to drogę do ukształtowania się w kręgu kadr kierowniczych kryteriów doboru i awansu opartych na fachowości i rezultatach pracy. Doprowadzi to również do likwidacji powiązań kumotersko-klikowych i zapobiegnie faworyzowaniu kandydatów na dyrektorów wywodzących się z aparatu biurokratycznego.

Pomyślność realizacji idei samorządności pracowniczej zależy bezpośrednio od samodzielności przedsiębiorstwa. Jest to banalne, ale ważne stwierdzenie. Tylko samodzielne przedsiębiorstwo może bowiem zagwarantować wydatne zwiększenie udziału pracowników w jego zarządzaniu. Wprowadzenie zasady samorządności jest szansą wytworzenia u pracowników w pełni pozytywnego, na wskroś socjalistycznego stosunku do pracy. Reforma, która nie uwzględni kardynalnej zasady samorządności pracowniczej skazana jest na niepowodzenie. Reforma, która umożliwi odpaństwowienie i odbiurokratyzowanie instytucji samorządu i jej pełny rozkwit uzyska aprobatę społeczną — zasadniczy warunek sukcesu.

WITOLD KASPERKIEWICZ

RYSZARD BINKOWSKI

SPRZEDANI

Wysłuchawszy cierpliwie długiej, smutnej opowieści dwojga młodych ludzi, których Urząd Gminy sprzedał wraz z domem i ziemią, usłyszałem pytanie: „Ile będzie kosztować opisanie tej sprawy?" Zrobiło mi się jeszcze smutniej, a później jasna krew mnie zalała. Nie, wcale nie byłem wściekły na tych młodych ludzi. To nie oni doprowadzili do tego, że najwyższą instancją odwoławczą stały się prasa, radio i telewizja. Butność urzędników, znieczulica, łamanie praworządności brak poszanowania i zrozumienia ze strony administracji, a także niedobory podstawowych artykułów na rynku sprawiły, że bezsilni, zrozpaczeni obywatele uznali, iż za wszystko w tym kraju trzeba płacić.

Cała ta historia jest trochę mglista, tajemnicza, niezrozumiała. Otóż, w Rzgowie, w domu przy ulicy Tuszyńskiej 54, od trzydziestu lat mieszkał Józef Wojdyn, pracownik MPK, obecnie emeryt. Był on również właścicielem gruntu o powierzchni około trzech hektarów. Niektórzy twierdzą, że do Wojdyna należała tylko trzecia część ziemi. Dlaczego? Ano stąd, że Józef Wojdyn miał żonę, a żona miała jeszcze dwie siostry, z których jedna zamieszkiwała wraz z małżonkami, druga zaś osiedliła się w Anglii.

Józef Wojdyn chyba niezbyt interesował się ziemią, gdyż ta od piętnastu lat znajdowała się w dzierżawie u jednego z sąsiadów. Zmarła żona Wojdyna, a potem jej siostra. I teraz trzecia z sióstr, ta w Anglii, doprowadziła ponoć do tego, żeby ziemia przeszła na PFZ. Jak ona tego dokonała, Bóg jeden wie, albo Urząd Gminy w Rzgowie. Trudno sobie wyobrazić, żeby dom przeszedł także na skarb państwa. Przecież żyje i mieszka w nim Józef Wojdyn. Czyżby Józef Wojdyn także poszedł na skarb państwa? Wojdyn jest już starym człowiekiem i najlepiej się czuje, gdy zaleje gorycz swej samotności i opuszczenia. Trudno się z nim dogadać.

Faktem jest, że w roku 1979 znaleźli się ludzie, którzy zdecydowali się zaopiekować Józefem Wojdynem. Byli to Magdalena i Leszek Tosikowie. On pracował jako ślusarz w Miejskim Przedsiębiorstwie Instalacyjnym, ona zaś zatrudniała się w Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego „Olimpia". Młodzi małżonkowie potrzebowali mieszkania, zwrócili się więc z prośbą do Wojdyna, czy by nie odstąpił im sublokatorki. Józef Wojdyn wziął pięć tysięcy odstępnego, zgodził się na 500 zł komornego co miesiąc, po czym legalnie zameldował Tosików na pobyt stały od dnia 5.XII.1979 r., co zostało poświadczone w dowodach osobistych. I tak Tosikowie zamieszkali w pokoju o powierzchni 25 m kw., gdzie mieściła się sypialnia, kuchnia i wszystkie graty potrzebne do życia.

Wkrótce rozpoczął się cyrk urzędniczy oraz heroiczne zmagania o dom tudzież ziemie Wojdyna. Obok działki Wojdyna leży 6 ha ziemi Jana Pierzchałki, ojca Magdaleny Tosikowej. Pierzchałka posiada 16 ha gruntów i wielką oborę. Przed kilku laty stawiano go na piedestale gminy: był preferowany i wspierany ze wszystkich stron jako specjalista — hodowca bydła mlecznego. W jego gospodarstwie specjalistycznym znajdowało się 36 krów dojnych. Ostatnio pech chciał, że większość krów nie została zacielona, a ponadto zabrakło pasz, w wyniku czego Pierzchałka musiał zredukować stado do minimum. Zamierzał jednak wprowadzić do obory nowe jałówki i dokupić trochę ziemi. W związku z tym złożył podanie o kupno tych trzech hektarów po Wojdynie. Podanie odrzucono, albowiem w gminie Rzgów jest odnowa i dużych ferm chłopskich już się nie preferuje.

Tosikowie nic z tego nie rozumieli. No bo dziadek Wojdyn renty za ziemię nie bierze, a przyjęto go na skarb państwa. Może ten dom jest jeszcze prywatny? Może ta pani z Anglii zechce tu wrócić na emeryturę? Nic podobnego!

Wobec powyższego Tosikowie złożyli podanie o kupno gospodarstwa. Mieli nadzieję, że należy im się prawo pierwokupu. Umyślili sobie, że skoro pole jest obsiane, to poczekają aż dzierżawca sprzątnie zboże, a oni wezmą się później za produkcję warzyw gruntowych i pod folią. Dziecko miało przyjść na świat, więc jedno z małżonków musiało zrezygnować z pracy, żeby zająć się domem i gospodarstwem. Warto tu zaznaczyć, że Leszek Tosik pracujący przez kilka lat w gospodarstwie rodziców na wsi, posiada pełne uprawnienia rolnicze, kończył bowiem specjalne kursy.

Spośród czterech podań, które wpłynęły do Urzędu Gminy o kupno gospodarstwa Wojdyna, trzy odrzucono, w tym również podanie Tosików. W urzędzie oświadczono im, że gospodarstwa nie dostaną, bo są z innej gminy. Leszek Tosik mieszkał kiedyś w woj. piotrkowskim, kursy kończył w Technikum Rolniczym w Bujnach, ale drugi rok mieszka w Rzgowie, gdzie jest zameldowany na pobyt stały. Jeszcze raz się więc okazało, że Polska nie jest jedna: co parafia, to inny kraj, inne rządy.

I sekretarz KG PZPR, tow. Kuras, poradził Tosikowej, żeby sobie kupiła gospodarstwo w Tadzinie, albo w jakiejś innej odległej wsi. A dlaczego nie w Rzgowie, przy ul. Tuszyńskiej 54, gdzie Tosikowie mieszkają? **Bo to gospodarstwo może nabyć tylko rodowity rzgowianin.** Nie ma innego wyjścia. Magdalena Tosikowa powiedziała, że zna inne wyjście. Złożyła w Urzędzie Gminy trzy podania: o przydział działki budowlanej, o przydział materiałów oraz kredytu. Wszystkie załatwiono odmownie. Zwróciła się o pomoc do sekretarza Kurasa, twierdząc, że gdyby dostała to, co jej potrzebne, jesienią tego roku wyniosłaby się z domu Wojdyna. A sekretarz, przybity potęgą propagandy klęski, powiedział jej szczerze, że nic z tego nie będzie, bo do gminy nie spłynie ani jedna tona cementu. Ano cóż, cementownie stanęły z braku paliwa. Ale już ruszają. I teraz cementu nie będzie się wysyłać za granicę, bo ten eksport jest niekorzystny. Przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych zapewniają nas co dnia, że zostaną poważnie zwiększone dostawy maszyn i materiałów budowlanych dla wsi. Skąd więc takie wytyczne, żeby podważać wiarygodność i zaufanie do władzy?

Ale nie w tym rzecz. Należy się bowiem zastanowić, czemu Tosikowie zamierzają wyprowadzić się z domu Józefa Wojdyna? Przyczyna jest prozaiczna: **w grudniu ubiegłego roku Urząd Gminy sprzedał ziemię, dom i będącego na skarbie państwa dziadka Wojdyna, dorzucając gratisowo do transakcji Tosików wraz z pięciotygodniowym niemowlęciem.** Handel żywym towarem podlega pod kodeks karny, ale naczelnik gminy nie musi się znać na prawie, gdyż ma od tego doradców. Jednakże naczelnik Konstanty Młotkiewicz, jako magister nauk społecznych, winien dobrze wczuwać się w opinie i nastroje społeczne. I dlatego zgodnie z opinią, że ziemię należy dawać młodym najlepszym, sprzedał gospodarstwo Zbigniewowi Gałkiewiczowi, absolwentowi wyższej uczelni, specjaliście w uprawie róż. Nie wydaje się jednak, żeby pan Gałkiewicz był człowiekiem najbardziej potrzebującym mieszka w piętrowej willi i ma ziemię, na której uprawia już róże. **Nie wiadomo także, co prezydent resortowy i Wydział Rolnictwa Urzędu Miasta Łodzi preferują w gminie Rzgów: rozwój plantacji róż czy też produkcję mleka, mięsa i warzyw?**

Nabywca gospodarstwa nie docenił przekazanej mu gratisowo siły ludzkiej. Niemal w tym samym dniu, gdy uzyskał prawo własności, przybył do domu przy ul. Tuszyńskiej 54 i oznajmił, że nie chce tu więcej widzieć Tosików. Ale nie zamierza wcale wyrzucać lokatorów na bruk. Wyprowadzą się do izby po jego babci i będzie spokój. Tosikowie się przestraszyli, bo co będzie, jak się wyniosą z gratami, a pan Gałkiewicz ich potem nie zamelduje u babci? Więc mówią, żeby ich najpierw przemeldowano. A Zb. Gałkiewicz na to, żeby nie kaprysili, bo na niego nie ma siły: nie boi się naczelnika, gliniarzy ani księdza proboszcza.

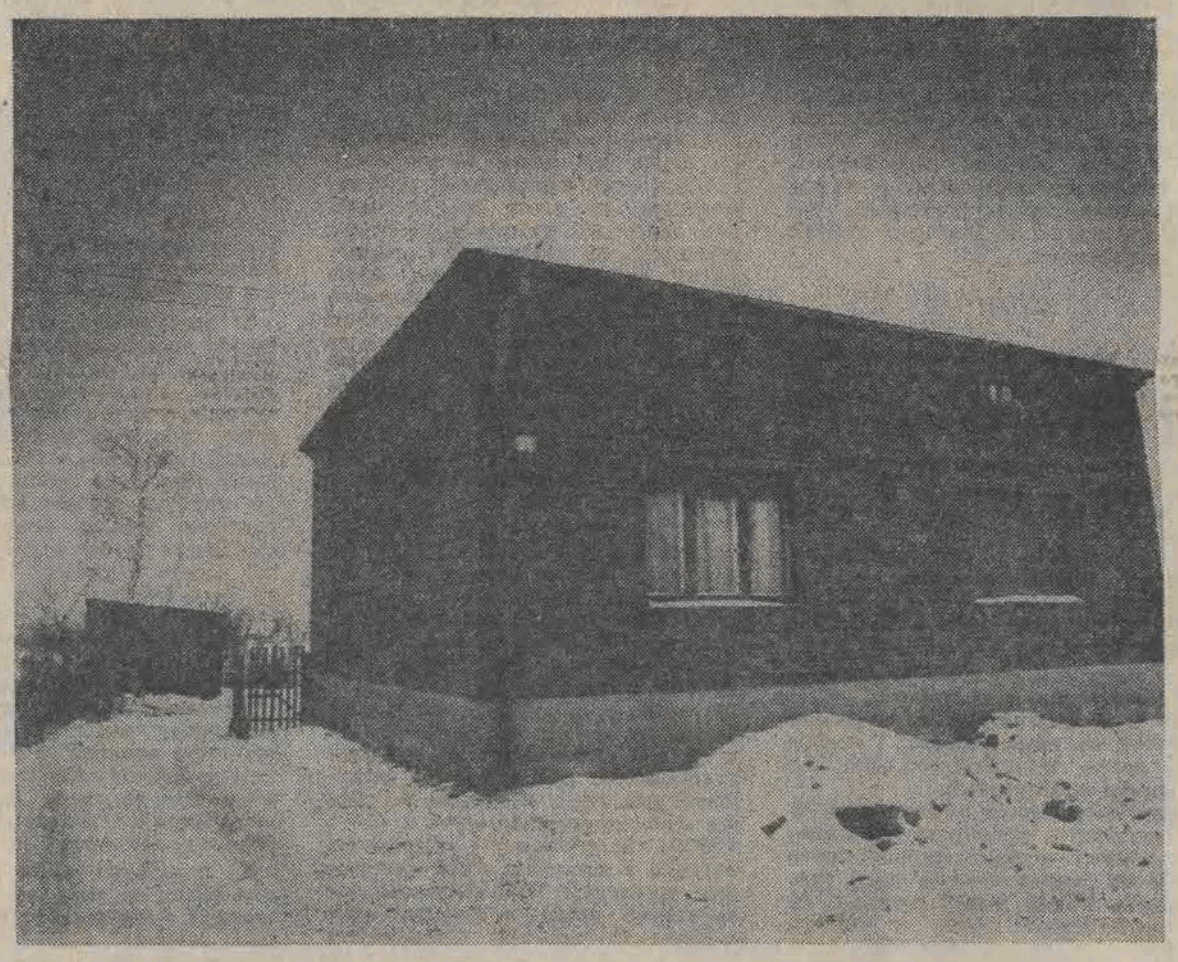

Foto: R. Łucyszyn

Jak przystało na młodego absolwenta wyższej uczelni, pan Gałkiewicz wykazał wiele taktu, inwencji i dużą operatywność. Zerwał ze stropu ocieplenie, pozostawiając w suficie same deski, po czym odciął dopływ prądu do izby. Przerażeni Tosikowie nie ruszyli się z miejsca. Bo jak tutaj urządza się takie cyrki, to co dopiero będzie, jak wejdą do rodziny Gałkiewiczów i zamieszkają w izbie przy babci? **Siedzą więc przy świeczce, chociaż zapłacili rachunek za energię elektryczną. wiatr się wdziera przez sufit do izby, ośmiotygodniowe już niemowlę sinieje z zimna, ale oni się nie poddają: żeby utrzymać kilkanaście stopni ciepła, dokładają do pieca przez całą dobę, jak w szklarni. A sekretarz Kuras radzi im, żeby się nie męczyli i poszukali sobie jakiegoś kąta na własną rękę.** Natomiast Zb. Gałkiewicz wykazuje coraz więcej inwencji i smaku estetycznego. Stwierdziwszy, że w jego domu nie mogą stać graty, których on nie wziąłby za darmo, włamuje się do pomieszczeń zajmowanych kiedyś przez zmarłą siostrę Wojdynowej (pomieszczenie wietrzyła i sprzątała jedna z kuzynek), wyrzuca meble, w tym maszynę do szycia marki Singer, na podwórze, prosto w błoto, i część tych sprzętów potem ginie.

I teraz zaczyna się już poważna część publicystyczna. Najdotkliwszym problemem w miastach i gminach jest brak mieszkań. Pan Gałkiewicz ma willę, lecz mimo to sprzedaje mu się dom. Wprawdzie „wolność Tomku w swoim domku" ale dewastacja nawet własnego domu też jest chyba karalna. A pan Gałkiewicz, zrywając ocieplenie, dewastuje swój dom. Nie należy więc przypuszczać, żeby wprowadził tam nowych lokatorów, gdy przepędzi Tosików. Może natomiast urządzić w budynku mieszkalnym jakiś warsztat albo garaże.

Między osobami prywatnymi jest taki układ, że nabywca domu z lokatorami musi im zapewnić odpowiednie mieszkanie zastępcze. Kiedy jednak państwo sprzedaje osobie prywatnej dom z lokatorami, ono powinno zatroszczyć się o ich przyszły los.

A co będzie z dziadkiem Wojdynem, którego Urząd Gminy pozbył się z taką beztroską? Być może da mu się wypić, żeby się poczuł jak w raju, wsadzi się go do poloneza i puści w cudowny rejs... wprost do domu starców.

Wydaje się, że naczelnika Konstantego Młotkiewicza nie należy posądzać o zdecydowanie złą wolę, łapownictwo lub kacykostwo. Naczelnik został przyjęty w Rzgowie dość przychylnie. Zrobił sporo dobrego, ludzie go chwalą, m. in. za zbudowanie asfaltowej drogi do wsi Prawda. **Ale później zdarzyło mu się kilka potknięć, jak chociażby niefortunna eksmisja Stefana Naporowskiego, który wkrótce zmarł na ulicy. Stefan był osobnikiem zdegenerowanym, ale był przede wszystkim człowiekiem. Chorym człowiekiem.**

Później pojawiły się sprawy drobniejsze. Lokalizacja budownictwa jednorodzinnego na zagospodarowanych działkach ogrodniczych w Starowej Górze, do czego jednak nie doszło. Budowa (na papierze) silosów u rolników, którzy o tym nie wiedzieli. Pomieszczenie w planie rozwoju rolnictwa wzrostu hodowli królików, podczas gdy w GS nie było człowieka, który by się tym zajął i królików w ogóle nie kontraktowano.

Naczelnik Młotkiewicz jest człowiekiem z zewnątrz. Postanowił nie wchodzić w żadne układy, kierować się w działaniach według własnych zasad. Nie przewidział jednak, że z czasem będzie musiał ulegać naciskom ze strony pewnych grup.

Nie znał mentalności tych ludzi. Odnosi się wrażenie, że naczelnik ma złych doradców, także pośród swoich podwładnych, zasiedziałych od lat w Urzędzie Gminy, którym nie podoba się sposób sprawowania władzy przez nowego naczelnika. I dlatego doszło do nowej, przykrej sytuacji.

Naczelnik oświadczył, że znając sytuację Tosików, w pierwszej kolejności przydzieli im działkę budowlaną. Czy nie za późno? Czy nie byłoby lepiej, gdyby Tosikowie mogli pracować na własnym gospodarstwie? Nadszedł czas, gdy będziemy prosić na kolanach, żeby ktoś zechciał zająć się opuszczoną ziemią. Aby pozyskać chętnych, w każdej gminie naczelnik musi zająć się troskliwie rolnictwem, a sekretarz partii — ludźmi. Jak na razie, w obronie interesów obywateli usiłują stawać związkowe organizacje chłopskie. Ale w Rzgowie samorząd chłopski jeszcze nie odżył.

Dalszy ciąg ze str. 1

szkoły. Nie ma szatni, nie ma umywalni, ubikacje — w podwórzu.

Ze służbą zdrowia — nie lepiej.

Przychodnia lekarska przy ul. Wita Stwosza urąga podstawowym warunkom, jakie powinna spełniać podobna placówka. Maleńki murowany budyneczek i ciąg przyległych do niego baraków, żywo przypominających budowlane pakamery.

Rano rozgrywają się tu dantejskie sceny. Zwłaszcza poradnia dziecięca nasuwa drastyczne skojarzenia, których wolę nie dopowiadać. Łączna powierzchnia przychodni — obsługującej 30 000 ludzi — jest jedenastokrotnie mniejsza od powierzchni „pałacu". Dziennie przewija się tu prawie 800 pacjentów. Wobec faktu, że większość przychodzi tu równocześnie, w godzinach porannych, można obliczyć, że na statystycznego chorego przypada około metra kwadratowego powierzchni.

— Kiedy na spotkaniach z przedstawicielami władz miasta i województwa — słyszę w czasie pobytu w Skierniewicach — podnosiliśmy problem opłakanego stanu lokalowego służby zdrowia, słyszeliśmy w odpowiedzi, że brak funduszy i mocy przerobowych. Tymczasem fundusze i moce się znalazły, żeby kilkudziesięciu pracownikom wznieść komfortowe locum.

Podobne — a często i ostrzejsze w tonie — wypowiedzi padać zaczęły już jesienią na zebraniach załóg miejscowych zakładów pracy. Ludzie nie mieli wprawdzie wpływu na decyzję o budowie tego gmachu, teraz jednak chcieli mieć wpływ na jego przeznaczenie. Uwierzyli, że nastał czas, w którym stanie się to realne.

Nadzieją napawał fakt, że władze centralne określiły jednoznacznie swój stosunek do podobnych „inicjatyw budowlanych" z niedalekiej przeszłości. Decyzją Rady Ministrów zatrzymano budowę kilku analogicznych „pałaców", na liście których umieszczono również i skierniewicki obiekt.

W imieniu załóg skierniewickich zakładów i instytucji dialog z władzami podjęła Wojewódzka Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność". Na pierwszym spotkaniu z wojewodą skierniewickim, Kazimierzem Borczykiem, w dniu 4 grudnia 1980 roku gmach przy ul. Mszczonowskiej był tematem nr 1. W dwa tygodnie później — 19 grudnia — na następnym spotkaniu, cytuję za sprawozdaniem:

„...w sprawie realizacji postulatów zgłoszonych przez załogi pracy. *Omówiono* następujące postulaty: 1) Przeznaczenie budynku KW PZPR przy ul. Mszczonowskiej dla służby zdrowia. 2) Przeznaczenie Polikliniki MSW również dla zwykłych obywateli. 3) Przeznaczenie restauracji „Pieczarka" dla potrzeb socjalno-bytowych Liceum Ogólnokształcącego 4) Przeznaczenie tzw. pustostanów, tj. mieszkań nadających się do zamieszkania, lecz czekających niewiadomo na co oraz mieszkań zajmowanych przez rozmaite instytucje. 5) Poprawa jakości wody pitnej w województwie. 6) Sprawa zmiany kuratora. 7) Zlikwidowanie „Wiadomości Skierniewickich".

Przytaczam wszystkie postulaty, aby unaocznić hierarchię spraw, jakimi żyją mieszkańcy Skierniewic. Podczas kilkugodzinnego spotkania — którego przebieg znam z zapisu magnetofonowego — najwięcej czasu i emocji kosztował zebranych punkt 1 z przytoczonej listy. W sprawie też tego punktu zawarte zostało porozumienie między wojewodą skierniewickim a WKP NSZZ „Solidarność" o następującej treści:

„1. Wojewoda skierniewicki powoła w terminie do dnia 31 grudnia 1980 roku Komisję Ekspertów w składzie: a) przedstawiciele WKP NSZZ Solidarność" b) przedstawiciele WKP branżowych związków zawodowych, c) przedstawiciele administracji państwowej, d) przedstawiciele biura projektów.

2 Komisja Ekspertów na podstawie dokumentacji możliwości adaptacji, a także potrzeb instytucji zainteresowanych oceni przydatność wznoszonych budynków przy ul. Pomologicznej i Mszczonowskiej, a także budynków zajmowanych obecnie przez KW PZPR przy ulicach: Daszyńskiego i Reymonta i przedstawi propozycje wykorzystania w/w budynków. Termin opracowania ekspertyzy — do dnia 15 lutego 1981 roku."

Zgodnie z porozumieniem, aczkolwiek ze sporym „poślizgiem", powołana została komisja. W jej inauguracyjnym — a pewnie jedynym — posiedzeniu miałem możność uczestniczyć 12 stycznia 1981 roku.

Przewodniczący komisji, a zarazem przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania, Bogdan Pągowski przedstawia koncepcję władz województwa, które jednoznacznie obstają przy utrzymaniu dotychczasowego przeznaczenia „pałacu" gotowe są jednak pójść na kompromis, „dokwaterowując" 54 pracownikom politycznym i pozostałemu personelowi KW PZPR pracowników kilku innych organizacji politycznych i społecznych miasta i województwa. Zwolnione w ten sposób pomieszczenia władze proponują przeznaczyć na potrzeby służby zdrowia i oświaty.

Koncepcja ta spotyka się z natychmiastowym protestem zebranych. Nie wszystkich, rzecz jasna, bo część z nich przyszła tu z wyraźnym zamiarem obronienia gmachu przed jakimikolwiek zakusami ze strony przedstawicieli skierniewickch załóg. Argumenty ich jednak są na tyle nie przekonywające, że obrady komisji kończą się wnioskiem przyjętym przez wszystkich jej członków, co każdy z nich zaświadcza własnym podpisem.

Cytuję z notatek:

„Komisja (...) stwierdza: 1) przydatność obiektu przy ul. Mszczo-

w stronę „drugiej Polski"

nowskiej w całości na cele służby zdrowia i oświaty, 2) ze względu na znikomą przydatność dla służby zdrowia i oświaty nie rozpatrywała zmiany użytkownika budynku przy ul. Daszyńskiego, 3) przyszli użytkownicy obiektu przy ul. Mszczonowskiej, przedkładając ramowy program użytkowy, zwrócą się do autorskiego Biura Projektów Budownictwa Ogólnego w Warszawie z propozycją przystosowania budynku do nowych potrzeb.

Komisja Ekspertów wnioskuje do wojewody skierniewickiego o podjęcie decyzji w sprawie przekazania w/w obiektu służbie zdrowia i oświacie."

Do wniosku tego prowadziła — przedziwnymi meandrami — kilkugodzinna dyskusja, z której warto chociaż jeden głos przytoczyć.

Anna Urbanowicz, przedstawicielka nauczycielskiej „Solidarności":

— Naprawdę trudno doszukać się jakichkolwiek racji społecznych, przemawiających za utrzymaniem planowanego przeznaczenia gmachu przy ul. Mszczonowskiej, wzniesionego tak ogromnym kosztem. Pozbawione większego sensu są opinie, że budynek ten nie nadaje się na potrzeby służby zdrowia. A czy przychodnia przy ul. Wita Stwosza nadaje się na ten cel? Czyżby „pałac" był zbyt luksusowy, żeby służyć tysiącom zwykłych mieszkańców Skierniewic?...

W przerwie w obradach komisji rozmawiam z innym reprezentantem „Solidarności" — Andrzejem Przytułą ze skierniewickiej „Zatry":

— Zbudujemy drugą Polskę! Pamięta pan to hasło? Ot, i budowaliśmy. Wszędzie, również w Skierniewicach. Ten „pałac" dla miejscowej elity za ciężkie miliony, to tylko część problemu. Tysiące zwykłych ludzi wyczekiwało latami na mieszkanie, żeby otrzymać wreszcie swoją wymarzoną żelbetową klatkę. Tymczasem inni — nieliczni — żyli sobie w luksusowych willach i apartamentach, a ponieważ jeszcze im było mało, rozparcelowywali po kawałku województwo, żeby stawiać letniskowe pałacyki. Nie, nie mam nic przeciwko daczom, za bardzo się nawet tym nie interesujemy. Nie mam nic przeciwko, o ile nie dzieje się to wbrew prawu i na koszt społeczeństwa. Niestety, zbyt wielu mieliśmy prywatnych właścicieli województwa, którzy sobie i swoim kolegom, miejscowym i zamiejscowym, budowali tu prywatną „drugą Polskę".

Tak, w Skierniewicach wiedzą aż nadto dobrze, że ich teren podlegał szczególnie silnej penetracji ze strony utytułowanych i ustosunkowanych mieszkańców Warszawy i Łodzi, których wysiłki trafiały tu na podatny grunt. I tak — wiadomo — że gminy Radziejowice i Żabia Wola, to tereny „warszawskie", zaś „łódzkie" — to gmina Dmosin i Brzeziny. Skierniewiczanie natomiast obrali za cel zabiegów gminy położone bardziej centralnie, a więc głównie Bolimów i Teresin.

Te zabiegi i penetracje doprowadziły do tego, że inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli mają teraz pełne ręce roboty, penetrując wytrwale województwo skierniewickie i zapobiegając usilnie o rozwikłanie rozlicznych, nader zagmatwanych, spraw i sprawek, obciążających sumienia, a raczej kartoteki, wielu utytułowanych i ustosunkowanych współwłaścicieli PRL.

Bez NIK dzisiaj ani rusz. I ja również, po kilkakrotnych wyjazdach do Skierniewic, zmuszony jestem narazić dyrektora łódzkiej delegatury NIK, Włodzimierza Twardowskiego, i jego zastępcę, Ryszarda Dornata, na trud parogodzinej rozmowy, w której z ich pomocą porządkuję liczne wątki i tropy, nagromadzone w czasie podróży w stronę „drugiej Polski".

Od brudu, jaki przewala się ostatnio przez akta NIK, zbiera obrzydzenie. Niejedna z pomniejszych nawet spraw zdałaby się na gazetowy serial, którym przez dni kilka można by epatować żądnych sensacji czytelników.

Nie lubię sensacji, nie wiem więc, czy śmiać się, czy płakać, kiedy wnikam głębiej w sprawę prezesa Gminnej Spółdzielni w Teresinie, który miejscowej Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej zlecił przeprowadzenie kapitalnej modernizacji jednej z knajp, aby wkrótce po jej zakończeniu objąć ten, luksusowy już, lokal w ajencję. Ponieważ zaś posada prezesa GS nie jest do pogardzenia, aby jej nie stracić, wziął na czas ajentowania wielomiesięczny urlop.

Prezes nie działał w próżni. Wszyscy o jego poczynaniach doskonale wiedzieli. Bezkarności sprzyjał odpowiedni klimat. Jeden z przedstawicieli miejscowych władz, zapytany ostatnio, dlaczego tolerował działalność prezesa, odpowiedział wprost:

— Jednym z częstych bywalców tej restauracji był były wicewojewoda Gala. Jak zobaczyłem, kogo on tu sprasza na bankieciki, przeszła mi ochota na jakiekolwiek interwencje...

„Plecy" i „układy" niektórych tutejszych notabli jeszcze dziś mają legendarną wagę. Jak się można ich było dorobić? W prosty sposób, jak się teraz okazuje. Na przykład: nadużywając własnego stanowiska, aby na koszt społeczeństwa fundować prezent temu czy innemu protektorowi. Towarzysko-służbowy serwilizm, w którym wasal wyciska ze swoich włości pokaźne lenno dla seniora. Jak bowiem inaczej można potraktować sytuację w której prezes skierniewickiej WSS „Społem" wpisuje w koszty swojego przedsiębiorstwa rachunek za budowę domów letniskowych dla wiceprezesów Centrali „Społem".

Sprawy te są jeszcze w toku. Prowadzą je zespoły warszawskie NIK. W trakcie badania jest także osławiona „Hamernia" w gminie Radziejowice: leśna enklawa prywatnych domków pracowników centralnych instytucji i organów władzy. Teren ten w początkach lat siedemdziesiątych przyobiecano żyrardowskim robotnikom na sobotnio-niedzielną rekreację. Podjęto nawet wiele prac przygotowawczych, włącznie z budową sztucznego zalewu. A potem Powiatowa Rada Narodowa w Grodzisku Mazowieckim podpisała umowę z Urzędem Rady Ministrów, na mocy której „Hamernia" została zajęta pod budowę ogromnych dacz. Na ogrodzonym — pilnowanym przez strażnika z psami — terenie wzniesiono w krótkim czasie około 100 domków, zaś cały teren został uzbrojony w światło, wodę i gaz. Biegli w tej sprawie twierdzą, że infrastruktura „rodziła" się kosztem okolicznych gmin.

W wielu jednak przypadkach NIK zakończył już postępowanie wyjaśniające.

Zbadana — na przykład — została sprawa wsi Mogiły-Joachimów, gmina Bolimów.

Jedziemy razem z fotoreporterem do Mogił po oblodzonej asfaltowej szosie. Dwa kilometry za Bolimowem połać lasu ogromna, że trudno okiem ogarnąć, otoczona żelaznym parkanem. To jedno z latyfundiów najbardziej osławionego z prezesów — Macieja Szczepańskiego zarejestrowane pod nazwą „ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego". Jeszcze w budowie, chociaż kilkanaście pięknych bungalowów już gotowych. Praca wre. Robotnicy usiłują przeszkodzić w fotografowaniu tablicy z napisem: **„Komitet d/s Radia i Telewizji „Polskie Radio i Telewizja". Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Obiektów Radia i Telewizji „Budorit". Warszawa, ul. Woronicza 17".**

W niewielkiej odległości od tej enklawy zaczynają się prywatne parcele. Godne sąsiedztwo obrali sobie skierniewiccy dygnitarze na teren letniskowy. Wśród nich — były wicewojewoda Władysław Gala, którego daczę odnajdujemy bez trudu. Nie jest to wprawdzie pałac, ale nie jest też domek campingowy: położony nad urwistym brzegiem rzeki piętrowy budynek, stylizowany na chatę góralską. W obrębie działki — drewutnia wykonana w tym samym stylu i z tegoż szlachetnego budulca. Za drucianym ogrodzeniem ujadają dwa psy. Właściciela nie ma, a szkoda: może daliby obejrzeć to cacko i od wewnątrz. Tak czy inaczej, w daczy tej można by spokojnie mieszkać przez okrągły rok.

Czy mam ten domek panu Gali za złe? Czy ktoś może mieć jakieś pretensje?

Wszystko byłoby w porządku, gdyby ta letnia posiadłość nie została urządzona „sposobem" — w sporej części na państwowy koszt. Domek budowany był przez Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną w Teresinie (sami swoi!) i Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracyjne w Sochaczewie. Gala sporo rachunków już popłacił, lecz inspektorzy NIK wykazali niedobór w postaci należności za prace wykonane, ale nie względnione w dokumentach, nie fakturowane więc i nie opłacone. Na łączną kwotę 300 000 zł. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że kontrolerzy — zgodnie z obowiązującą praktyką — wszelkie wątpliwości rozstrzygnęli na korzyść byłego wicewojewody.

Na tym nie koniec zarzutów pod adresem Władysława Gali. Kolejny dotyczy trakcji elektrycznej, doprowadzonej do jego i sąsiednich domków kosztem 70 000 zł z pieniędzy Wydziału Rolnictwa UW przeznaczonych na elektryfikację wsi. Kontrola NIK odniosła już skutek: właściciele działek w ciągu trzech dni zapłacili przypadające na nich udziały.

Poważniejsza jest sprawa budowy asfaltowej drogi na terenie wsi Mogiły. Na okoliczność tej budowy sporządzona została umowa między Urzędem Wojewódzkim w osobie W. Gali a „Radiokomitetem" w osobie M. Szczepańskiego, na mocy której powstać miała dwukilometrowa droga do „ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego" telewizji. Droga powstała. „Radiokomitet" zapłacił za nią 3 mln zł, ale pan Gala polecił kontynuować jej budowę o dalsze półtora kilometra za dalsze 2 mln zł aż do swojej działki i działek sąsiednich.

Droga została wybudowana, lecz nie było czym za nią zapłacić. Ponad rok przedsiębiorstwo drogowe czekało na należność, aby w końcu oddać sprawę do komisji arbitrażowej która „zasądziła" do tego 600 000 zł kar i odsetek. Dług dziś jest już w sporej części uregulowany. Urząd wojewody, przekazał 2-milionową należność za budowę drogi, wykorzystując do tego pościągane z kilku gmin fundusze. Teraz zaś prowadzi negocjacje w sprawie odsetek.

I sprawa niby załatwiona. Moim jednak zdaniem — metodą daleką od sprawiedliwości społecznej. Jeśli bowiem my, jako państwo, z kiesy państwowej będziemy spłacać prywatne długi, zbankrutujemy na pewno. Ostatecznie, jeśli nawet sąsiedzi pana Gali nie wiedzieli, że nadużywa on dla prywatnych celów swojego stanowiska, to i tak powinni partycypować w spłacaniu zaciągniętego również i w ich imieniu długu. Co najwyżej — jeśli by im to nie odpowiadało — potem mogliby dochodzić swoich racji u obecnego sąsiada, a niegdysiejszego współpracownika wielu z nich.

Skoro o długach mowa, to wspomnieć warto, że 205 „działkowiczów" z terenu jednej tylko gminy Bolimów winnych było łącznie 2 mln zł skarbowi państwa z tytułu przekwalifikowania gruntów rolnych i leśnych na letniskowe. Urząd Wojewódzki w Skierniewicach dziwnym trafem przeoczył tę drobną sumkę, a i pewnie zupełnie by o niej zapomniał, gdyby nie — znów! — NIK, dzięki której 650 000 zł już wyegzekwowano. Co będzie z resztą? Ano, nie wiadomo. Płatnicy mogą się przecież odwołać do... urzędu wojewody.

Wracając jednak do sprawy Władysława Gali, do której jeszcze jesienią nikt się w Skierniewicach nie chciał przyznać (patrz mój reportaż pt. „Prawda — to nie tylko wynik..." z 5.10.1980 r.), zauważyć należy, że nie kończy się ona wcale na letniskowych machinacjach. Ciągle czeka na publiczne wyświetlenie rola tego pana w rozdzielaniu talonów na ciągniki i samochody, jak i wiele innych zarzutów.

O tej i innych skierniewickich sprawach chciałem rozmawiać z przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej — Aleksandrem Weselakiem. Niestety, nie chciał on znaleźć czasu dla mnie. Nie on jeden zresztą.

Nie miałem też szczęścia do prezesa Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, Andrzeja Banasiaka, który był — niestety — na zwolnieniu lekarskim.

A chciałem mu zadać kilka pytań. M. in. o słynny pieniądz rzeźbiarski, który uszczęśliwić miał mieszkańców osiedla „Widok" kilkoma rzeźbami przestrzennymi. WSM zamówiła marmur, sprosiła rzeźbiarzy, podpisała umowy, a teraz plon pieniędzy leży porzucony w pobliżu redakcji „Wiadomości Skierniewickich". WSM do tej pory nie uregulowała rachunków, opiewających na półtora miliona złotych, które sfinansować miały tutejsze zakłady pracy. Przyszedł jednak Sierpień i zakłady określiły się jednoznacznie: nikt ich dziś nie zmusi do opłacania czyichś głupich pomysłów. Może więc WSM rozłoży należność na wszystkich — Bogu ducha winnych — mieszkańców osiedla, podwyższając im czynsz?

Nie jedyna to sprawa, z którą nie wie, co począć przedsiębiorczy zarząd WSM. Następna wypłynęła podczas mojej wizyty w „Rawencie", gdzie przedstawiciele tutejszej „Solidarności", Anna Bielańska i Zdzisław Sekular, zaprezentowali mi dokumenty, z których wynika, że WSM zamówiła w 1978 roku w „Rawencie" 821 sztuk konstrukcji metalowych o wadze 24,5 tony na domki jednorodzinne, za które zapłaciła już pół miliona złotych, a których nie odbiera od wiosny 1979 roku.

Dziwna sprawa. Nie jedyna w Skierniewicach, nie jedyna w „Rawencie", gdzie — na przykład — ciągle jeszcze wywołuje emocje nazwisko Jana Siliwińskiego, który w połowie 1980 roku przestał być dyrektorem zakładu. Odszedł, bo z materiałów i brygadami „Rawentu" wybudował sobie willę w województwie bydgoskim. Skandal zrobił się tak głośny, że dyrektor musiał odejść. Odszedł więc, mieszka sobie spokojnie w willi, a pracuje na kolejnym kierowniczym stanowisku w zjednoczeniu „Klimawent" — takie informacje mają pracownicy „Rawentu". Takie też informacje ma NIK, który właśnie bada ich prawdziwość.

— Gdyby nie było Sierpnia — powiadają w „Rawencie" — **i tej sprawie by łeb ukręcono, rozmyto ją i zatuszowano. Zresztą, są sytuacje, w których odnieść można wrażenie, że Sierpień z daleka ominął Skierniewice, że odnowa się tu jeszcze na dobre nie zaczęła. Weźmy chociaż sprawę „pałacu" przy Mszczonowskiej. Psy szczekają, a karawana idzie dalej...**

„Pałac" wciąż więc wraca w rozmowach.

— Wydawało nam się, że jesteśmy już na dobrej drodze, że znaleźliśmy płaszczyznę porozumienia z władzami — mówi Anna Urbanowicz podczas mojej kolejnej wizyty w Skierniewicach. — **A tymczasem?... Wie pan że moje wystąpienie na komisji potraktowane zostało jako atak... na partię? Doprawdy trudno zrozumieć, o co tu naprawdę chodzi. Jedno jest pewne — przegraliśmy sprawę!**

Rozmawiamy w kilka dni po plenarnym posiedzeniu KW PZPR w Skierniewicach, które odbyło się 16 stycznia 1981 roku, a które — cytuję za sprawozdaniem prasowym — „podjęło uchwałę, że wojewódzka organizacja partyjna sama zadecyduje o przeznaczeniu dotychczas zajmowanych budynków oraz budowanego obecnie gmachu dla KW PZPR".

Jaki więc sens miały dwumiesięczne pertraktacje wojewody skierniewickiego z przedstawicielami załóg? Jaki sens miało powoływanie komisji? Co warte są jej ustalenia? Czyżby celowo żaden z przedstawicieli komitetu nie uczestniczył w rozmowach? Czy była to zwykła gra na zwłokę?...

Dwukrotnie odwiedzałem plac budowy, gdzie — wbrew decyzji Rady Ministrów — kontynuowano prace budowlane. Parunastoma ludźmi i w wąskim zakresie, ale zawsze. Czy po to, aby nie zmarnowały się zgromadzone już materiały, włącznie z drogą mozaiką i blachą osłonową? Czy też może po to, aby dalekim „zaawansowaniem" części biurowej utrudnić jej adaptację na inne cele?

Nie, nie chcę odpowiadać na te pytania. Przypomnę tylko, że podobny obiekt w Ostrołęce, mimo większego zaawansowania, służyć będzie tysiącom ludzi, przerobiony jest bowiem na placówkę służby zdrowia. To po pierwsze, a po drugie — wojewoda miał prawo prowadzić rozmowy, miał nawet prawo powziąć decyzję, gdyż inwestorem tego gmachu nie jest KW PZPR, lecz Urząd Wojewódzki, a ściślej — Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Skierniewicach.

Jak więc należy potraktować uchwałę plenum KW PZPR? Mam nadzieję, że ma ona charakter tylko i wyłącznie prestiżowy, nic o nas bez nas.

Właśnie, zadecydować ma wojewódzka organizacja partyjna. Jestem przekonany, że jeśli będzie podejmować decyzję, to w zgodzie z wolą większości mieszkańców Skierniewic.

Partia przecież — co tak dobitnie przypomniano na VI i VII Plenum KC PZPR — to wcale nie sekretariaty, egzekutywy czy nawet plena instancji, to nie etatowi pracownicy komitetów różnych szczebli. Partia — to wszyscy jej członkowie.

Jeśli więc rzeczywiście członkowie skierniewickiej organizacji będą decydować sami, jeśli nikt im nie będzie przeszkadzał, ani nikt ich nie wyręczy — to na pewno „pałac" zostanie wykorzystany z największym pożytkiem dla społeczeństwa. I służyć będzie temu społeczeństwu, mimo iż jest swoistym reliktem „drugiej Polski", której budowa — na szczęście dla nas wszystkich — została gwałtownie przerwana...

JACEK INDELAK

PS. Już po złożeniu powyższego materiału do druku, „Wiadomości Skierniewickie" w n-rze 5 z 29.01.1981 r. opublikowały artykuł pt. „Budynek", który zasługuje na uwagę przede wszystkim z tego względu, że prezentuje w sposób bardzo obszerny i szeroko argumentowany stanowisko władz województwa skierniewickiego w sprawie przyszłości gmachu — wznoszonego jako siedziba KW PZPR — przy ul. Mszczonowskiej.

Autor tego artykułu jednoznacznie określa się wobec ustaleń Komisji Ekspertów, która uchwaliła w dniu 12.01.1981 roku wniosek o przeznaczenie obiektu przy ul. Mszczonowskiej na potrzeby służby zdrowia i oświaty, mianowicie wniosek ten uznaje za całkiem bezzasadny, stwierdzając wręcz, że nigdy by się on nie zrodził, (cytuję za tekstem) „...gdyby nie niepokojące i wbrew zdrowemu rozsądkowi działania niektórych przedstawicieli „Solidarności"...".

„Otóż nie próbowano nawet podjąć dyskusji nad innymi koncepcjami przeznaczenia — czytamy dalej w artykule — budynku przy ul. Mszczonowskiej. Jedna z nich to koncepcja wykorzystania budynku na dom organizacji społeczno-politycznych. Proponowano w niej przenieść tam w całości Komitet Wojewódzki zwalniając tym samym dwa budynki — przy ul. Daszyńskiego i Reymonta, przenieść tam również Komitet Miejski z ul. Rawskiej, przenieść tam Zarząd ZSMP, jak również wiele innych organizacji społeczno-politycznych czekających na swe pomieszczenia w stolicy województwa, a będących dotąd porozrzucanych po jego terenie. Uzyskane w ten sposób wolne budynki i szereg mieszkań przeznaczono by na różnorakie cele społeczne i socjalne. Celowość takiego rozwiązania dla każdego kto zaczyna liczyć koszty przeróbek budynku przy ul. Mszczonowskiej jest logiczna i gospodarska".

Na marginesie tych stwierdzeń chciałbym dodać tylko, że szkoda wielka, iż autor artykułu nie był obecny na posiedzeniu Komisji Ekspertów, wiedziałby wówczas, że lansowana przez niego koncepcja — jedyna zresztą, jaką miały do zaproponowania władze — dyskutowana była również i na tym posiedzeniu, lecz została w rezultacie odrzucona.

„Wysunięta propozycja zorganizowania w budynku przy ul. Mszczonowskiej domu organizacji społeczno-politycznych — czytamy dalej — ma w Skierniewicach olbrzymi walor (sic! — przyp. J.I.). Brakowało bowiem do tej pory w tym mieście wojewódzkim obiektu, skupiającego wiele instytucji społeczno-politycznych, mogącego być na dodatek tak wszechstronnie wykorzystanym. Myślę, że nawet dla samej czytelni miejskiej jak i dużej sali widowiskowej wykorzystanej przez WDK warto pójść na taką propozycję. Jeśli komuś widzi się ten budynek jako pałac, to wszakże do tego pałacu chodzić będą wszyscy i oby tamtejsza stołówka wydawała pracownikom pobliskich zakładów pracy naprawdę królewskie dania".

W taki oto sposób „Wiadomości Skierniewickie" uzasadniają zaproponowaną przez władze koncepcję, przeciwko zaś koncepcji, zawartej we wniosku Komisji Ekspertów sięgają po następujący — koronny — argument:

„Chodzi mianowicie o to, że budynek przy ul. Mszczonowskiej postawiony w stanie surowym, z wykonaną w całości stolarką, instalacją elektryczną w 70 proc., instalacją sanitarną wykonaną w całości, wentylacją prawie w całości przewidziany był na zupełnie inne cele. Zgodnie z wypowiedziami członków powyższej komisji i zgodnie ze zdrowym rozsądkiem przychodnie o kilku kondygnacjach powinny mieć windy towarowo-osobowe, powinny mieć w każdym z pomieszczeń instalację sanitarną powinny mieć inny typ okien, nie mówiąc już o sposobie budowania (lany beton), który na ogół nie sprzyja zdrowiu ani jego poprawie".

Powyższym fragmentem gotów byłbym się nawet wzruszyć, gdyby nie fakt, że wciąż mam przed oczyma skierniewicką poradnię przy ul. Wita Stwosza.

„Każdy ktokolwiek w życiu swoim budował cokolwiek — piszą dalej „Wiadomości Skierniewickie" — wie jak wielkie koszty pociąga za sobą konieczność nawet małej modernizacji postawionego już budynku. Tymczasem wiadomo, że adaptacja tego właśnie budynku stawianego właśnie taką metodą, musiałaby pociągnąć za sobą olbrzymie koszty. Być może przekroczyłyby one nawet dotychczas poniesione, wyrażające się kwotą 86 mln zł. W tej sprawie zwrócono się do projektanta i wykonawcy. Tak więc dokładne możliwości adaptacji budynku, koszty z nią związane oraz ew. zgoda projektanta zostaną przedstawione w lutym br.".

Na zakończenie dodam, że projektanci — o ile mi wiadomo — wyrazili zgodę na przeprojektowanie dokumentacji, co nie stanowi bynajmniej precedensu, gdyż — jak pisałem wyżej — podobny budynek w Ostrołęce został zaadaptowany na potrzeby służby zdrowia.

J.I.

Foto: R. Łucyszyn

EMOCJE A TWARDA RZECZYWISTOŚĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

adaptacji znaczy: „Istnieje porządek rzeczy, istnieją także ustalone granice, poza którymi nie może funkcjonować słuszność".

— A co, pańskim zdaniem, szczególnie bulwersuje polskie społeczeństwo? Czy są to pojedyncze sprawy, niezależne od siebie, czy też może jednoczą się one w jakichś wewnętrznie sprzężonych układach logicznych?

— Wiele jest spraw incydentalnych. Choć nieraz ważne, a dla poszczególnych grup wręcz istotne, to jednak nie one poruszają i destabilizują społeczeństwo. Najgroźniejsze są mity o uniwersalnej treści, narzucone Polakom w przeszłości, dotychczas nie rozbite w całości i nie usunięte bez reszty z podświadomości społecznej. Co gorsza, na falach odnowy poczynają się plenić nowe. Trzeba więc czym prędzej w sposób zdecydowany je rozszyfrować, by nie wytworzyły form stałych.

— Stare mity, jak można sądzić po wielomiesięcznym przebiegu dotychczasowej dyskusji społecznej, zostały już rozpoznane i ujawnione. Obecnie pozostaje tylko systematyczne usuwanie ich pozostałości. Są to zabiegi nader trudne, gdyż owe mity usiłują nadal hołubić przeciwnicy odnowy. Można jednak wyrazić uzasadniony pogląd, że siły te nie mają już dziś szans na kontynuowanie starych, skompromitowanych metod rządzenia, potępionych przez klasę robotniczą i całe społeczeństwo. Niepokoi natomiast pańskie twierdzenie o pojawieniu się nowych mitów. Co Pan ma na myśli?

— Myślę przede wszystkim o różnych pół- i ćwierć prawdach, które robią wrażenie prawd całkowitych. Artykułuje się je zazwyczaj w formie chwytliwych sloganów, które łatwo idą w masy. Pozornie, tzn. werbalnie, ujmują sprawy publiczne w sposób całościowy i sugerują, jakoby wyrażały kwintesencję rzeczy. W rzeczywistości jednak pływają po powierzchni zjawisk i dotyczą fragmentów. Przyjmowane przez miliony ludzi w dobrej wierze jako formuły generalne, działają jak powoli sączony narkotyk, który obezwładnia wolę i ogranicza sprawność działania.

Najgroźniejszy ze wszystkich mitów, bo zdecydowanie antynarodowy w swej treści jest slogan: „Polska — chory człowiek Europy". Ukuli go i uporczywie głosili propagandziści potężnych sąsiadów naszego kraju w drugiej połowie XVIII wieku przygotowując opinię europejską na przyjęcie do akceptującej wiadomości zbrodniczych aktów przemocy w formie dokonanych później rozbiorów. W hałaśliwej wrogiej propagandzie utonęły najbardziej postępowe osiągnięcia, jakich dokonał naród polski w obliczu straszliwego zagrożenia niepodległego bytu. Ani Konstytucja 3-go Maja — rewelacyjny na owe czasy dokument demokracji społecznej i politycznej, ani Komisja Edukacji Narodowej — pierwsze w świecie Ministerstwo Oświaty i Wychowania, nie zostały już szerzej usłyszane i nie zdołały odwrócić narodowej katastrofy. Cztery pokolenia Polaków znalazły się w niewoli. Kłamliwości antypolskiego mitu dowodzą najlepiej właśnie wspomniane akty społeczno-prawne. Rzekomo „chory człowiek" zdobył się bowiem na decyzje wyprzedzające o całe pokolenia analogiczne ustawy w społeczeństwach wysoko sprawnych państw zaborczych. Spod grubej warstwy pyłu historii odgrzebano antynarodowy slogan w publicznych polemikach toczonych obecnie. Ustami czołowych publicystów — R. Wojna, M. Rakowski, I. Krasicki — Telewizja Polska odważyła się nie tak dawno zaserwować go milionom Polaków.

Identyczną treść, choć w sposób bardziej zawoalowany, wyraża slogan: „Polska — żebrak Europy". Usłyszałem go po raz pierwszy z ust dr W. Kuczyńskiego, który błyskotliwym referatem o stanie gospodarki polskiej otworzył niedawno dwudniową Konferencję NSZZ MKZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej, zorganizowaną przez Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny UŁ. Nie imputując niczego osobom, które rozpowszechniają chwytliwie brzmiące slogany, nie mogę nie napiętnować obiektywnie w nich zawartych treści oraz nie przestrzec przed antynarodowymi konsekwencjami z nich wynikającymi.

Zarówno chory człowiek jak i żebrak mają to do siebie, że nie mogą funkcjonować samodzielnie. Wymagają określonej opieki z zewnątrz, często ograniczającej swobodę podejmowania decyzji W szczególnych przypadkach staje się niezbędne nawet ograniczenie swobody ruchu. Łamiący bariery strachu oraz zrywający pęta bierności, głęboki i wszechstronny ruch odnowy w Polsce Ludowej pod żadnym pozorem nie może być uznawany za przejaw jakiejś choroby pandemicznej. Wręcz odwrotnie, stanowi najbardziej przekonywający dowód rzetelnego zdrowia i niepospolitej energii narodu. Można nawet wyrazić przekonanie, że podobnie jak przed dwu wiekami, teraz w ramach ustroju socjalistycznego wyprzedza nieuchronne przemiany.

Komu zależy na dyskredytacji odrodzenia narodowego? Czemu ma służyć odgrzebany ze śmietnika historii slogan o chorobie Polaków? Jeśli jeszcze można zrozumieć niechęć niektórych elit władzy poza granicami Polski, to już zupełnie zagadkowe stają się intencje tych krajowych moralistów, którzy w środkach społecznego przekazu, zamykając oczy na walor odnowy, wyolbrzymiają uboczne zjawiska jej przebiegu. Nie było na świecie, nie ma i nie będzie wielkich ruchów zmierzających do pożądanych przemian społecznych, na marginesie których nie pojawiłyby się jakieś uboczne patologie form i treści działania. Takie są prawa funkcjonowania każdego normalnego społeczeństwa. Jest natomiast oznaką do gruntu zdrowego narodu to, że umie się zdobyć, choćby w ostatniej chwili, na odrzucenie wszystkiego, co go krępowało, deformowało i prowadziło do upadku, że eliminując „błędy i wypaczenia", zachowuje rzeczywiste wartości socjalizmu, wzbogacając je o nowe treści i sprawne formy działania społecznego.

— Dlaczego tak ostro potępia Pan slogan o „żebraku Europy"? Nasze zadłużenia za granicą przybrały astronomiczne wręcz rozmiary a bez dalszych kredytów nasi ekonomiści i finansiści nie widzą możliwości wyprowadzenia Polski z głębokiego kryzysu. Sądzę, że ta właśnie okoliczność zrodziła to obrazowe acz pejoratywne powiedzonko, które budzi w Panu tak kategoryczny sprzeciw.

— Zdaję sobie w pełni sprawę z ciężaru dotychczasowego zadłużenia i z nieuchronności jego dalszego wzrostu. Nie dajmy się jednak zwariować astronomią miliardów. Po pierwsze, w przeliczeniu na jednego Polaka, podobne zadłużenie można znaleźć również w innych krajach socjalistycznych Europy, a nie przyszło w nich nikomu do głowy, by się degradować do roli żebraka. Po drugie, i to jest najważniejsze, nie ma na świecie kredytodawców, którzy by finansowali żebraków, w najlepszym przypadku — są ludzie humanitarni, którzy udzielają im drobnej jałmużny, nie oczekując oczywiście rewanżu za przysługę w jakiejkolwiek formie. Jeśli znaleźli się w świecie kredytodawcy, którzy zaufali Polsce wielkie sumy i są skłonni jeszcze je zwiększyć, dowodzi to niezbicie, że wysoko oceniają jej gospodarcze możliwości Samodeprecjacja nie wpłynie oczywiście negatywnie na postawę zagranicznych kredytodawców, gdyż są to ludzie rozumni, doskonale poinformowani o polskim obiektywnym potencjale gospodarczym. Może natomiast demobilizować, a więc obezwładniać społeczeństwo, które nie wyszedłszy jeszcze całkowicie z głębokiego szoku, jest nadal podatne na wszelkie, nawet bzdurne plotki.

Żebracza nędza Polski jest całkowitą nieprawdą. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Polska jest najbogatszym krajem surowcowym — nie licząc ZSRR — Europy, i że pod tym względem należy do najlepiej wyposażonych przez przyrodę na świecie. Nie dajmy się opętać mitom głoszącym rzecz przeciwną, często wypowiadanym jeszcze do niedawna przez przywódców, którzy nieudolność usiłowali usprawiedliwiać „obiektywnymi trudnościami". Polska, w przeliczeniu na mieszkańca, ma do dyspozycji taki areał ziemi, że przy sprawnym rolnictwie mogłaby nie tylko wyżywić na dobrym poziomie wszystkich swoich obywateli, lecz także eksportować znaczne ilości żywności bez uszczuplenia własnego spożycia. Stopień zainwestowania w infrastrukturze produkcyjnej i technicznej, mimo bardzo licznych jeszcze niedostatków, stawia nasz kraj w czołówce światowej. Nade wszystko zaś, 35 milionów ludzi biologicznie prężnych, w wysokim procencie należycie wykształconych i zdolnych, może zdziałać cuda — zbudować drugą Japonię, jak to niedawno obrazowo powiedział Lech Wałęsa.

Nie jesteśmy ani żebrakami, ani też Bangladeszem — ani Europy, ani świata. Jesteśmy tylko krajem, który nie bez winy całego społeczeństwa, pozwolił się wmanewrować przez nieudolnych przedstawicieli władzy w sytuację kryzysową. Mamy wszelkie dane po temu jednak, by w stosunkowo krótkim czasie przezwyciężyć marazm i wejść na szerokie szlaki wiodące do powodzenia i dobrobytu.

— Ten optymizm jest wręcz zaraźliwy, Panie Profesorze. Niemniej nie uwolnił mnie on od wszystkich moich wątpliwości i niepokojów. Na wstępie mówił Pan o mitach w liczbie mnogiej. Jakie zatem jeszcze inne niebezpieczne mity miał Pan na myśli?

— W kolejności rang destruktywnej funkcji nie przemyślanych do końca haseł przedstawiłbym zapowiadanie widma głodu, rzekomo zagrażającego Polsce. W licznych dyskusjach, a także w publikowanych studiach i artykułach polemicznych, ludzi dobrej woli dają wyraz swoim przekonaniom, że ograniczenie spożycia mięsa zagrozi zdrowiu społecznemu, obniży nawet jego sprawność neuropsychiczną.

Nie zajmuję się profesjonalnie naukową dietetyką i nie znam się na fizjologii żywienia. Znam jednak z własnych przeżyć i systematycznych studiów zjawisko głodu energetycznego i strukturalnego w skali wielkich liczb, które uprawniają do racjonalnego wnioskowania. Przeciętny, statystyczny Polak, do niedawna spożywał na dobę około 3300 kcal. Był to wskaźnik bodajże najwyższy wśród kilkudziesięciu krajów systematycznie badanych przez Organizację Rolnictwa i Wyżywienia Narodów Zjednoczonych — FAO. Wprawdzie udział białka zwierzęcego w przeciętnej diecie rzędu 1/5 — 1/4, nie sięgał górnej granicy dość powszechnie przyjmowanej normy, tj. około 1/3, jednakże mieścił się w niej na dobrym miejscu. Można więc bez obawy popełnienia poważniejszego błędu wyrazić pogląd, że jest z czego odpuszczać.

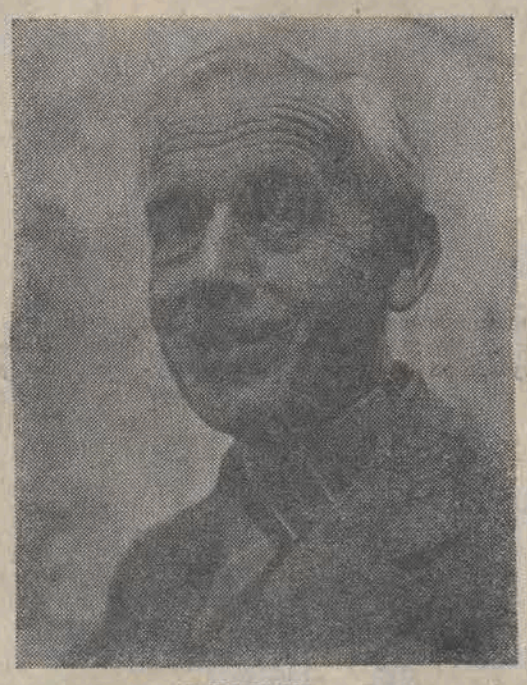

TADEUSZ OLSZEWSKI: „Zarówno chory człowiek jak i żebrak mają to do siebie, że nie mogą funkcjonować samodzielnie".
Foto: R. Łucyszyn

Nie chcę, oczywiście, ani twierdzić, że trzeba wreszcie skończyć z „obżarstwem", ani też, że można rozgrzeszyć wszystkich i wszystko za to, co doprowadziło do głębokiego kryzysu w gospodarce żywnościowej. Wręcz odwrotnie, wyrażam głębokie przekonanie o nieodzowności zasadniczych przeobrażeń w polityce rolnej, grutownej modernizacji przemysłu spożywczego i handlu produktami rolno-spożywczymi i in. Śmiem jednak twierdzić, że nieuchronne ograniczenie spożycia mięsa, nabiału i jaj nie grozi katastrofą narodową.

Niemal jedna piąta część mieszkających obecnie w kraju ludzi przeżyła długi okres głodu ilościowego i jakościowego, głównie deficytu białka zwierzęcego po I wojnie światowej; niemal jedna czwarta cierpiała z jego powodu w katastrofalnych latach wielkiego kryzysu ekonomicznego 1929—1933; zaś niemal połowa w straszliwych latach II wojny światowej. Pokolenia, które przeżyły te klęski, bynajmniej nie uległy cherlactwu fizycznemu, ani degeneracji umysłowej. Również doświadczenia co najmniej 3 mld ludzi obecnie żyjących na globie ziemskim dowodzą, że nie potwierdza się w całej rozciągłości teza o społecznej szkodliwości diety zdominowanej przez pokarmy roślinne.

— Więc kapusta, marchew, ziemniaki, nać pietruszki... Cieniutko.

— Wiem, zresztą tego też brak, ale wierzę, że nasza matka ziemia nie opuści nas w potrzebie. Nie, nie jestem jaroszem i nie mam najmniejszego zamiaru nawoływać nikogo do wegetarianizmu, bo ani sam go nie praktykuję, gdy do tego nie zmuszają okoliczności zewnętrzne, ani też nie uważam, by można go uznać za coś normalnego w kraju bądź co bądź zaliczanym do rozwiniętych. Wyrażam natomiast głębokie przekonanie, że tzw. „zaciśnięcie pasa" czy, jak inni wolą, „częściowa abstynencja od potraw mięsnych", nie wyrządzi jakichś zasadniczych szkód zdrowiu społecznemu. Jeśli szybka odbudowa produkcji zwierzęcej nie ma szans powodzenia, a tak, niestety, jest, trzeba świadomie zaakceptować twardą konieczność obecną, i chyba nie nadmiernie długotrwałą w przyszłości. Szok, wywołany alarmami głodowymi, nie tylko powoduje zjawiska panikarskie dezorganizujące rynek, ze szkodą przede wszystkim dla ludzi ubogich, nieporadnych i społecznie zdyscyplinowanych, z korzyścią zaś dla różnych chomików, hien i szakali, lecz także przeradza się w stresy i frustracje, znacznie bardziej szkodliwe dla zdrowia społecznego, niż sam niedobór białka.

— Tak, to prawda, ale mimo wszystko, jakaś określona ilość białka zwierzęcego jest dla organizmu niezbędna.

— Naturalnie Jednak w naszej sytuacji ekonomicznej skromnymi zapasami białka zwierzęcego musimy gospodarować bardzo oszczędnie i rozumnie, a przyjęte zasady tego rozdziału realizować konsekwentnie. Społeczeństwo musi zrezygnować z formalnej równomierności rozdziału i zaakceptować słuszność socjalną. Mężczyźni ciężko i bardzo ciężko pracujący fizycznie, kobiety ciężarne i karmiące, młodzież dorastająca muszą otrzymywać znacznie więcej niż dzieci, osoby zaawansowane wiekiem czy nawet mężczyźni i kobiety w sile wieku wykonujący zajęcia mniej energochłonne. To zróżnicowanie tylko pozornie tworzy jakieś uprzywilejowania dla określonych grup socjalnych. W rzeczywistości bowiem z trudem tylko, jeśli w ogóle, wyrównuje rzeczywiste zwiększone zużycie energii na wykonanie społecznie niezbędnych obowiązków i zadań. Jakakolwiek „urowniłówka", w tym przypadku: 1 kg na 1 żołądek, nie miałaby nic wspólnego ze sprawiedliwością społeczną.

— Bardzo twardo formułuje Pan swoje tezy. Nie sądzę, żeby pańskie poglądy na tę sprawę zdobyły szeroką popularność.

— Zdaję sobie w pełni z tego sprawę. Mam jednak moralne prawo do zachęcania do ofiarności społecznej. Należę do tego pokolenia, które przeżyło trzy długie okresy głodowania w Polsce. Mimo to, osiągnąłem już wiek emerytalny, w różnych dyscyplinach sportowych osiągałem nie najgorsze wyniki, uczestniczyłem z powodzeniem w kształceniu kilku pokoleń Polaków, doprowadziłem do magisterium kilkuset studentów, do doktoratu kilkunastu ludzi, opracowałem i opublikowałem niemało monografii, studiów i rozpraw i in. Długie lata rzeczywistego głodowania nie zahamowały więc ani mojego rozwoju fizycznego, ani wzrostu umysłowego. Wspominam to nie gwoli czczej chwalby, lecz by udokumentować, że nie teoretyzuję tylko, i że własne doświadczenie upoważnia mnie do sprzeciwiania się mitologii rzekomej groźby głodu w Polsce i katastrofalnych jego następstw dla zdrowia narodu.

— Poglądy Pana Profesora wzbudzą z pewnością głębsze refleksje nad sprawą wyżywienia narodu w przejściowym okresie kryzysu i, być może, wpłyną na uspokojenie opinii społecznej, wielce zaniepokojonej alarmistycznymi głosami. Chciałbym jeszcze spytać o pańską opinię na temat wprowadzenia w Polsce wszystkich wolnych sobót. Jest to sprawa, która w ostatnich dniach wywołała falę burzliwych dyskusji i wyzwoliła sporo emocji.

— W moim przekonaniu w problemie wolnych sobót zawierają się dwie zasadnicze kwestie: socjalna i ekonomiczna. Treść socjalną oddaje najlepiej hasło: „Każda sobota dniem polskiej rodziny". Wyraża ono, oczywiście, ideał socjalny godny największego wysiłku i wszelkiego poparcia Co innego jednak jest idea, a co innego brutalna rzeczywistość. Realia naszej gospodarki ukształtowały się w ten sposób, że gnębi nas na co dzień dotkliwy brak żywności, węgla, stali, cementu, mieszkań, lekarstw, środków piorących, gazet, zabawek dla dzieci i setek innych produktów niezbędnych do zaspokojenia elementarnych potrzeb. Nawis inflacyjny przybrał zastraszające rozmiary których i najtęższe umysły ekonomistów i finansistów nie są w stanie określić nawet w przybliżeniu. Nie mylą się także specjaliści, którzy obawiają się dalszego wzrostu jego ciężaru. Jeśli w budżecie domowym nie możemy związać końca z końcem, zwiększamy w poczuciu odpowiedzialności za losy rodziny nasze wysiłki, by zwiększyć dochody, podejmując, m. in., pracę dodatkową, jeśli tylko coś się znajdzie. W wielkiej rodzinie społecznej natomiast chcielibyśmy w tej samej sytuacji postąpić akurat odwrotnie — skrócić czas obowiązującej pracy. Co chcemy przez to osiągnąć? Komu, czemu ma służyć pogłębianie i tak już dotkliwego deficytu elementarnych produktów? Szermierze wszystkich wolnych sobót od zaraz używają wielorakich argumen-

Foto: Z. W. Nowak

tów, uznając je za oczywiste prawdy. W moim przekonaniu posługują się jednak tylko pół i ćwierćprawdami. W formalnym brzmieniu jest całkowitą prawdą, że postulat wolnych sobót został zaakceptowany przez przedstawicieli rządu i Międzyzakładowe Komitety Strajkowe w porozumieniach sierpniowych. Nie będę się wdawał w egzegetyczne spory, czy porozumienie jest jednoznaczne z ustanowieniem prawa. Gdyby nawet tak było, to nikt nie wątpi, że w przypadku kolizji regulacji szczegółowej z normą wyższego rzędu, obowiązuje ta druga. Nikt także nie neguje najwyższej normy obywatelskiej: SALUS REI PUBLICAE SUPREMA LEX: — DOBRO OJCZYZNY NAJWYŻSZYM PRAWEM! Niech mi filologowie i prawnicy wybaczą drobną samowolę w parafrazie językowej.

— Jak Pan ocenia głoszony pogląd, że dobra organizacja pracy, rytmiczne zaopatrzenie surowcowe i materiałowe, zapewnienie ciągłości dostaw energii mogą z nadmiarem wyrównać straty, spowodowane uznaniem wszystkich sobót za dni wolne od pracy?

— Pogląd abstrakcyjnie całkowicie słuszny. Jednak twarda rzeczywistość nie pozwala na akademickie dywagacje, co by było, gdyby... Sprawnej organizacji musimy się dopiero dorobić. Miejmy nadzieję, że wprowadzane, zresztą zbyt wolno, reformy gospodarcze stworzą dogodne po temu warunki. Dostawy zaopatrzeniowe zależą w zasadniczym stopniu od należytego funkcjonowania wzajemnie sprzężonych jednostek produkcyjnych. To zaś podlega w dużej mierze determinacji ze strony pełnego wykorzystania czasu pracy. Koło się więc zamyka. Może je otworzyć tylko patriotyczna determinacja robotników. Nie przekonuje także argumentacja, jakoby wszystkie wolne soboty mogły ułatwić należyte zaopatrzenie zakładów wytwórczych w energię elektryczną w pięciu dniach roboczych. Powszechnie wiadomo, że najtrudniejszy do rozwiązania problem w elektrowniach stanowią szczyty obciążenia. Zaoszczędzonej elektryczności w sobotę nie da się zmagazynować do poniedziałku — piątku. A więc argument na miarę nawet nie ćwierćprawdy. Słusznie piętnując winnych za obecną sytuację w Polsce i żądając ich ukarania, nie nasycimy tym rynku. Może to uczynić tylko solidarna i wytężona praca, bez oglądania się na natychmiastowe ekwiwalenty. Zaryzykuję nawet tezę, iż z głębokiego dna kryzysu wyjdziemy tym szybciej, im mniej będziemy się targować o dni wolne od pracy i im rzetelniej wykorzystamy wszystkie godziny i minuty każdego dnia pracy.

— Wobec tego czym Pan tłumaczy zdecydowane żądanie Krajowej Komisji Porozumiewawczej „Solidarności" i wielu MKZ „Solidarności", jak również niektórych związków branżowych, natychmiastowego wprowadzenia wszystkich wolnych sobót? Czy nie jest Pan w błędzie?

— Wyznam szczerze, że wielce mnie zmartwiła decyzja KKP „Solidarność" polecająca bojkot pracy w sobotę dnia 10 stycznia br. Przypuszczam, że w atmosferze „burzy i naporu", trwającej wciąż jeszcze w naszym kraju, zabrakło czasu i rozwagi w gremiach stanowiących — zarówno nakazujących pracę jak i jej zabraniających. Przy dobrej woli obu stron można było uniknąć niepotrzebnego zamieszania i szkodliwości stresu. Nie usprawiedliwiając niezręczności jaką przejawiła władza, nie mogę jednak nie zganić KKP „Solidarność" w podjęciu postanowienia zobowiązującego miliony pracowników bez dokładnego poznania ich poglądów na ten temat. Znaczna liczba członków NSZZ „Solidarność" nie wyraziła solidarności z podjętą decyzją.

— Tak, ale zamieszanie z 10 stycznia powtórzyło się w dniu 24 stycznia.

— Zmartwiłem się jeszcze bardziej. Przede wszystkim dlatego, że w gruncie rzeczy nie chodziło już o samą sobotę. Jak się powszechnie słyszy, obie pertraktujące strony nad liczbą obowiązujących godzin w przeciętnym tygodniu pracy różnią się między sobą już tylko czasem, mierzonym w minutach. Spór zaostrzył się jednak, gdy w negocjacjach pojawiły się sprawy innych postanowień zawartych w porozumieniach społecznych z końca lata ub. roku. W moim przekonaniu, dla dobra sprawy polskiej, nie należy naśladować złych wzorców handlu, praktykującego „transakcje wiązane". Trzeba publicznie sformułować jednoznaczny program działania na rzecz urzeczywistnienia wszystkich słusznych żądań, opracowań i realizować także społecznie zdrowy system form nacisku na opornych, gdyby zaszła tego potrzeba, uporządkowany według rosnącego stopnia presji społecznej. Sięganie od razu po najostrzejsze narzędzie grozi głębokimi ranami zarówno winnym jak i niewinnym, ponadto stępi go do tego stopnia, że utraci ono użyteczność. Miejmy nadzieję, że z trudnych ostatnich lekcji i władze, i związki zawodowe wyciągną należyte wnioski.

Obawiane zdarzenie można chyba nie bez racji traktować jako jeden z dowodów, że poznanie opinii społecznej nie jest sprawą łatwą, i że nie należy skąpić wysiłku i rozwagi przy jej sondowaniu. Co się tyczy wiarygodności argumentów o stratach gospodarczych powodowanych wolnymi sobotami, nie trzeba czekać na precyzyjny rachunek. Zwykły zdrowy rozsądek ich dowodzi. W ciężkiej sytuacji społecznej nie jest istotne, czy sięgają one kilku czy kilkunastu procent produkcji globalnej. Wystarczyć powinna świadomość, że w ogóle powstają. Każde, nawet najdrobniejsze, pogorszenie złego stanu zaopatrzenia rynku w warunkach podrażnienia i zniecierpliwienia milionów ludzi może mieć groźne następstwa. Trzeba więc w imię powszechnego dobra czynić wszystko, by nie dochodziło do spięć wywołujących iskry. O wybuch wtedy nietrudno!

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

wojewoda i sekretarze

Rozmowa z generałem JERZYM ZIĘTKIEM

— Panie Generale, jak, jako długoletni pracownik administracji państwowej i członek najwyższych władz, ocenia Pan naszą obecną rzeczywistość?

— Musimy wspólnymi siłami wykorzenić narosłe i tkwiące jeszcze w naszej codzienności zło. Odpowiednio ukarać i rozliczyć winnych... Nie ma chyba teraz człowieka, który twierdziłby, że wszystko to, co było — było w porządku. Ale to nie znaczy, że mamy utopić się we wzajemnych waśniach. Musi dojść do ugody. W interesie kraju. Albo Polska się umocni, albo jej nie będzie. U wszystkich ludzi musi zwyciężyć rozsądek. Trzeba chwycić za łopatę i pracować. Uważam, że sytuacja nie jest tak beznadziejna, aby nie było z niej wyjścia. Nie należy tylko pogłębiać kryzysu. A w rozmowach trzeba wrócić do tego, co to znaczy Polska, Ojczyzna, ile nas kosztowała ta ciężko wywalczona wolność. Wiem, że to trudno, że ci, którzy wcześniej o tym mówili, nadużywali tych słów, doprowadzili kraj do takiego stanu, jaki dzisiaj widzimy. Aż się czasem wierzyć nie chce, że było to możliwe... Są jednak sprawy wyższe od wzajemnych złości i wytykań — jest Polska, więc dla niej musi nastąpić ugoda...

— Ugoda, dobrze — ale nikt już nie pójdzie tylko za hasłami. Wydaje mi się, że w ostatnich latach zatarła się granica między hasłami a sloganami...

— Tak, haseł nie trzeba, przestaliśmy już wierzyć w najwznioślejsze nawet słowa. Konieczne jest jednak, by w jedną, jedyną prawdę uwierzyć: w kraju musi być spokój i praca. To tak mało i zarazem tak wiele...

— To też hasło...

— Tak, ale przynajmniej za nim coś się kryje. Myślę, że za takimi słowami zawsze pójdziemy. Musimy uwierzyć, że będzie lepiej, inaczej...

— A kto ponosi winę za obecny stan rzeczy? Całe społeczeństwo nie jest przecież odpowiedzialne...

— Oczywiście, lecz trudno mi jest dokładnie ocenić poszczególnych ludzi. Na pewno nie jedna osoba z władz centralnych. Trzeba rozliczyć tych, którzy dzisiaj mówią, że nie wiedzieli, a ja dopowiadam: nie chcieli wiedzieć...

— Jaką rolę należy w tym wszystkim przypisać byłemu I sekretarzowi KC? Byliście przecież w dość bliskich kontaktach...

— Jak już wszyscy wiedzą, towarzysz Edward Gierek oceniony zostanie — po powrocie do zdrowia — przez plenarne posiedzenie KC lub w czasie nadzwyczajnego zjazdu partii. Wiele osób ma teraz do niego — ciągle się o tym słyszy — pretensje za to, że oderwał się albo pozwolił oderwać od spraw naszego życia; że otoczył się ludźmi, którzy wszystko mu lukrowali, malowali, wybielali; którzy tak świetnie przygotowywali niby gospodarskie wizyty w terenie, że wydawało się, że żyjemy w kraju mlekiem i miodem płynącym... Są to sądy wygłaszane na gorącej fali dzisiejszych czasów. Być może, jak pierwsze podniecenie minie — spojrzymy na to trochę inaczej. Znając towarzysza Gierka, uważam, że będąc I sekretarzem chyba nie wiedział co się u nas dzieje...

— Albo nie chciał wiedzieć. To przecież takie wygodne...

— Nie wygłaszałbym takich opinii. Zarzuca mu się, nawet w publikacjach prasowych, że otoczył się albo pozwolił się otoczyć doradcami, którzy tylko potakiwali głowami...

— Bo innych opinii nie dopuszczał do siebie.

— Nie całkiem się z tym zgadzam. Pamiętam naszą współpracę jeszcze z katowickich czasów. Zawsze w sprawach ważnych rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy, często były ostre spory... Zasięgaliśmy opinii rozmaitych fachowców, mających różne zdania... Dziwię się twierdzeniu, że nie utrzymał on tego stylu pracy. Ludzie nie zmieniają się przecież z dnia na dzień. A z drugiej strony, gdyby nawet było w tym trochę prawdy — to w jakim świetle stawia ona tych wszystkich doradców? Gdzie ich honor, gdzie uczciwość, gdzie podstawowa zasada prowadzenia działalności naukowej, mówiąca, że służy się przede wszystkim nadrzędnym celom społecznym? Na ten problem trzeba popatrzeć inaczej: może oni, znając upodobania I sekretarza, wykorzystując niektóre cechy jego charakteru — po prostu doradzali „pod niego". Było to wygodniej, bezpieczniej... W jakim stopniu Edward Gierek ponosi odpowiedzialność za obecny stan naszego kraju? — na to pytanie odpowie przyszłość, historia.

Ale trzeba też być sprawiedliwym, trzeba mu oddać niewątpliwe zasługi i wszystkiego nie przekreślać. Wiele dla Polski przecież zrobił. Do połowy lat siedemdziesiątych sam byłem święcie przekonany, że jesteśmy na dobrej drodze. Postęp naszego życia był niewątpliwy, wszyscy go odczuwaliśmy...

— Czy miał Pan okazję w ostatnich latach spotykać się z tow. Gierkiem na gruncie prywatnym?

— Rzadko ale spotykaliśmy się...

— Czy była okazja do rozmów na temat różnych nieprawidłowości w rozwoju naszego kraju, w stosunkach społecznych...

— Miałem i zwracałem uwagę na niektóre problemy. Mówiłem o zaniedbaniach rolnictwa, o zbyt kosztownych inwestycjach... Mówiłem o nie zawsze odpowiednim szanowaniu robotniczego trudu, o niespotykanym gdzie indziej wykorzystywaniu górniczej pracy... Gierek z niektórymi sprawami się zgadzał, o innych mówił, że to czarnowidztwo, że nie mam racji, że mój skromny (ze względu na stan zdrowia) udział w życiu społeczno-politycznym nie pozwala mi na właściwą ocenę sytuacji, uważał, że górnicy zawsze go popierali i będą popierać — tak samo inni robotnicy... Osobiście byłem zdania, że poprawa warunków życia, to nie tylko więcej pieniędzy w kieszeni; pomijam fakt, jakim kosztem zostały one zapracowane... Ludzi przecież trzeba poważnie traktować, można ich o wiele prosić, ale muszą wiedzieć, że z ich pracy są efekty i dla nich samych, i dla rodzin, i dla kraju...

— Czy nie uważa Pan, że niektórzy ludzie, aż nazbyt dobrze wyreżyserowali wszystko, co się działo wokół byłego I sekretarza KC? Ale nawet mimo to trudno jednak uwierzyć, że nie znał prawdy...

— Być może miał częściowe rozeznanie, ale całej prawdy na pewno nie znał. Ci, którym najwięcej wierzył, odsuwali od niego rzeczywisty obraz naszego kraju. Podsuwali nie całkiem prawdziwy. Nie może to być jednak usprawiedliwieniem, nie usprawiedliwia to żadnego polityka...

— Ufał nie zawsze tym ludziom, co trzeba. Jeden z najbardziej zaufanych powiedział na VI Plenum KC, że partii potrzebny jest skromny, sprawiedliwy, wymagający i odważny I sekretarz KC, a nie przywódca. Chodzi o byłego I sekretarza KW w Katowicach, tow. Zdzisława Grudnia.

— Wiem i uważam to za wielkie nieporozumienie, nie każdy do takiego stwierdzenia byłby zdolny. Przecież właśnie tutaj, u nas — niepotrzebnie — kreowano Gierka na przywódcę, i nikt inny, tylko byłe kierownictwo KW grało w tym pierwsze skrzypce... Gierek miał autentyczną popularność, i tutaj, w Katowicach, i w pierwszych latach, kiedy został I sekretarzem KC. Niepotrzebna mu była w ogóle sztuczna aureola męża opatrzności, nieomylnego przywódcy...

— Mógł na to nie pozwolić, widocznie miał słabość do takich gestów.

— On chyba wierzył, że to co się dzieje jest spontaniczne, że w sumie jest aż tak dobrze — co oczywiście go nie usprawiedliwia... Wracając do byłego I sekretarza KW, to myślę, że ze wszystkich członków Biura Politycznego był on najbliżej Gierka, miał największy na niego wpływ... Stąd odpowiedzialność jego jest też duża...

— Obecnie tę odpowiedzialność niektórzy próbują od siebie odsuwać...

— Żeby przyznać się do winy, trzeba mieć odwagę cywilną. Niestety, słów brakuje na określenie takiego postępowania. Wierzę jednak, że społeczeństwo wyrobiło już sobie obiektywny sąd. Bo źle by było, gdyby opowiedzialność wiązano tylko z osobą Gierka. Na pewno za bardzo ufał niby oddanym współpracownikom, a w niektórych sytuacjach był zbyt uległy...

— Wstąpiliście do partii, Generale, w 1945 roku. Przez ten okres partia przeszła kilka zakrętów, albo — inaczej mówiąc — odnów...

— O ile sobie dobrze przypominam, to na każdym zakręcie mówiło się o podobnych sprawach. Poprawa warunków życia, demokratyzacja, wolność, zmiany w zarządzaniu gospodarką... Teraz też! Potem wszystko gdzieś się gubiło...

— Dlaczego?

— Przyczyn było wiele. Trudno o wszystkich mówić. Zresztą co nieco próbuje się już w tej chwili dociekać. Wśród wielu jest i taka, którą w zasadzie się przemilcza, a która dla mnie wydaje się być ważną, a nazwałbym ją fałszywą ambicją. W takich właśnie okresach do ważnych stanowisk dochodzą ludzie przypadkowi. Zdają sobie sprawę z tej przypadkowości, własnej niekompetencji i za wszelką cenę chcą się na swoich stołkach utrzymać. Więc co robią? Wracają po prostu do starych struktur, z których wyszli, bo w nich jest łatwiej żyć i rządzić. Jak ognia unikają funkcjonowania na nowym, nieznanym gruncie. Poza tym jest jeszcze jedna prawda: nic nie zrobi najnowszy i najlepszy nawet człowiek, jeżeli pozostaje w tym samym otoczeniu. Przykładów chyba nie muszę podawać...

— Jak się układały stosunki między Urzędem Wojewódzkim a Komitetem Wojewódzkim partii po odejściu tow. Gierka? Nie najlepiej się na ten temat mówiło i mówi...

— I to potwierdzam. Próbowano wtrącać się do decyzji administracyjnych, częściowo chciano wojewodzie odebrać samodzielność...

— O ile wiemy, Pan dość dobrze dawał sobie radę...

— No, to wszystko zależy od indywidualności wojewody, że tak to nazwę. Mogłem pozwolić sobie na pewną opozycję, bo znałem się z Gierkiem. Kiedy ja odszedłem, decyzje administracyjne w większości wypadków zapadały już nie w gmachu Urzędu Wojewódzkiego...

— Na pewno nie bez znaczenia była tu popularność Pana Generała w społeczeństwie; właśnie z tą popularnością trzeba było się liczyć...

— To nie ja powiedziałem.

— Odszedł Pan z Urzędu Wojewódzkiego w 1975 r. W informacji prasowej podano, iż pragnie Pan skoncentrować swoją uwagę na sprawach związanych z godnością członka Rady Państwa i obowiązkami członka KC. Jak to było naprawdę?

— Odszedłem, bo sam chciałem — taka jest prawda. Nikt mi nic nie proponował. Odszedłem, bo uważałem, że coraz trudniej pracować, podejmować decyzje... Zdrowie także nie pozwalało. Czułem się zmęczony. Z Gierkiem się dobrze współpracowało, mieliśmy różne poglądy, spieraliśmy się ale to wszystko były partnerskie dyskusje. Jak ja byłem wojewodą, to mi to za bardzo nie przeszkadzało. Również i to, że unikał rozmów ze mną w czasie jakichś oficjalnych spotkań. Nie robiłem sobie z tego specjalnie wielkich rzeczy...

— Po takich spotkaniach zdarzało się, dzwoniono do redakcji, że Ziętka tam w ogóle nie było; albo jak już zezwalano na to, że można było wymienić Pana nazwisko, to nie miał Pan prawa być na zdjęciu...

— Być może i tak było. Niektórzy uważali, że dopiero mój następca potrafi uzdrowić województwo. Nie wiem czy tak się stało. Moja opinia na ten temat nie ma już chyba w tej chwili większego znaczenia. Muszę się jednak przyznać, że mogłem jeszcze rok — dwa lata zostać. Chociaż... to stanowisko wymaga jednak energii, wytrwałości, ruchliwości...

— Myślę, że to stanowisko wymaga także partnerstwa w stosunku do osoby I sekretarza KW. Bo jak wojewoda tylko potakuje głową i firmuje swoim podpisem nie swoje decyzje...

— ... to spokojnie może zrezygnować z tej funkcji. Nie wszyscy chcieli dzielić władzę w województwie z wojewodą.

— Pan Generał był w pewnym stopniu legendą tutaj, na Śląsku, a nie wszyscy ludzie lubią legendy. Zwykła zazdrość...

— Gdzie tam — co ze mnie za legenda? Czułem po prostu to, czego potrzebuje społeczeństwo i w tym kierunku działałem. Być może byłem popularny, ale nigdy o tanią popularność nie zabiegałem. Uważam, że władza wcale nie musi się ludziom podobać; władza, bez względu na to jaka jest, musi przede wszystkim mieć autorytet...

— Krótko po Pana odejściu na jednym ze spotkań powiedziano, że wreszcie skończy się w tym województwie stawianie sobie za życia pomników...

— Ja tego nie słyszałem, ale wiem, że takie intencje były. Nawet jeszcze przed moim odejściem. Kiedy podejmowałem decyzję budowy Parku Kultury czy Hali, to przecież myślałem tylko o społeczeństwie...

— Były to inwestycje, powiedzmy sobie teraz, na pół oficjalne...

— Jak było — tak było. Należy pamiętać jednak o tym, że Park budowali wszyscy, społecznie. Trzeba przypomnieć o tej pięknej akcji sadzenia przez każdą rodzinę jednego drzewka. Park od początku miał swoich przeciwników, lecz daliśmy sobie z nimi jakoś radę. Potem ci sami ludzie oprowadzali oficjalne delegacje, pokazywali i mówili: popatrzcie, ile zrobiliśmy... Albo uniwersytet. Budowany był jako szkoła. Kiedy miała zapaść decyzja, to jeden z mądrych przywódców powiedział: po co wam uniwersytet, przecież wy nawet pomieszczeń odpowiednich nie macie... Więc ja przywiozłem tego towarzysza i pokazałem... Zawsze forsowałem tylko takie sprawy, które dobrze mogły służyć społeczeństwu i które ludzie bez zastrzeżeń popierali. Nigdy nie zgodziłbym się np. na to Centrum przy pl. Dzierżyńskiego. To województwo miało, i nadal ma, inne niezbędne potrzeby...

— Na co Pan Generał by się jeszcze nie zgodził, gdyby przez ostatnie lata był wojewodą?

— Dużo by mówić. Nie chcę jątrzyć. Z tych większych spraw, to byłem i jestem przeciwny obecnemu podziałowi administracyjnemu w kraju. Przecież to proste, że łatwiej w cuglach utrzymać 17 koni, niż 49. Rozrosła się biurokracja. I ta administracyjna, i ta partyjna. Rządy w nowych województwach zaczęły się od budowy okazałych gmachów. Czym mniejsze województwo, tym większy gmach — tak ze sobą rywalizowano. Ile to pieniędzy pochłonęło? I jak się zaczęli rządzić... Kto ich tego nauczył? U nich zawsze, od początku wszystko było świecące się. Przyjeżdżali I sekretarz czy premier, to malowali, czyścili, asfalt w błoto kładli... Co to za gospodarze? Ja pokazywałem osiągnięcia i brudy, potrzeby, które jeszcze są. Niech zobaczą, ile mamy do zrobienia, co nam się jeszcze należy... Przecież to żaden wstyd. Władza, u której wszystko jest bardzo dobrze, wszystko idzie jak po maśle — zawsze powinna być władzą podejrzaną. Przynajmniej troszeczkę. Trzeba jej się przyglądać, bo na pewno zaczyna kiwać...

Rozmawiał:
JAN DZIADUL
(„Trybuna Robotnicza")

CO Z TĄ MILICJĄ?

Dalszy ciąg ze str. 1

— Ale milicjanci nie czekają za to w kolejce po mieszkanie...

— Czekają i to tak samo jak wszyscy. 35 funkcjonariuszy z naszej KD mieszka w złych warunkach, niektórzy wręcz w fatalnych, czasem zaczepiają się gdzieś kątem, płacą spore kwoty za łóżko, a ja, jako ich zwierzchnik nie mogę im pomóc. Np. Marek Grabski z wydziału kryminalnego od wielu lat mieszka z żoną każde u swoich rodziców. Są co prawda członkami spółdzielni mieszkaniowej, lecz muszą czekać na swoją kolej. Albo kierowca Janusz Kotarski mieszkający z żoną i dziećmi na peryferiach Łodzi w wynajętym mieszkaniu, w jednej izbie. On także niewielkie ma szanse na mieszkanie w blokach. Innego z milicjantów wyrzuca właścicielka, bo chce otworzyć jakiś sklep...

— Natomiast pracownicy MO otrzymywali dotąd sporo talonów na samochody...

— Kolejny mit, który obrósł w legendę. Do 1979 r. komendant wojewódzki dysponował takimi talonami. Z mojej komendy starało się o przydział sporo osób, ale, jak pamiętam, ostatni talon trafił do nas trzy lata temu.

— Więc może otrzymywaliście talony na kolorowe „Jowisze"?

— Jestem 9 lat komendantem i w tym czasie ani jeden z moich milicjantów nie otrzymał talonu na telewizor kolorowy.

— Pominęliśmy sprawę dodatków rodzinnych...

— Istotnie. Spieszę wyjaśnić: na 1 dziecko pracownik MO otrzymuje 100 zł, na drugie 150 zł. Jest to więcej niż otrzymują inni i w naszym odczuciu ta dysproporcja winna była być zlikwidowana przynajmniej kilkadziesiąt lat temu. Różnica jest niewielka, wprowadza natomiast sporo zamętu i nieporozumień.

— Panie Komendancie, z wielu grzechów, jakimi jesteście obarczani, najpoważniejszym jest znęcanie się funkcjonariuszy MO nad ludźmi zatrzymanymi i osadzonymi w waszych aresztach. Chciałbym więc od Pana, komendanta najludniejszej dzielnicy Łodzi, uzyskać na powyższy zarzut wyczerpujące wyjaśnienie.

— Dobrze, że padło to pytanie. Od dawna pod naszym adresem preparuje się zarzuty, że rozwydrzona i brutalna milicja znęca się nad biednymi obywatelami PRL. Otóż prawda jest taka, że jesteśmy organem represji i po to zostaliśmy powołani, a także wyposażeni przez ustawodawcę w pewne uprawnienia. Mamy prawo: legitymować, zatrzymywać, doprowadzać i używać pałki służbowej w określonych ściśle sytuacjach. Nasi funkcjonariusze wiedzą, że tam, gdzie istnieje zakłócenie porządku, gdzie trzeba wymusić posłuszeństwo na łobuzie — należy używać publicznie pałek służbowych. Milicjanci jednak niechętnie korzystają z tego przywileju, gdyż użycie pałki, nawet w przypadku kiedy wynika to z konieczności obrony obywatela przed chuliganem, jest traktowane przez społeczeństwo jako coś niedopuszczalnego i zdarza się, że ludzie stają nagle w obronie łobuza choć tenże łobuz kilka minut temu czynnie znieważył kobietę, starca lub innego spokojnego obywatela. Natomiast oświadczam, że zarówno kierownictwo Komendy Wojewódzkiej jak i my w Komendzie Śródmiejskiej, przeciwdziałamy możliwościom stosowania przemocy wobec osób będących w areszcie komendy dzielnicowej. Przez ostatnie lata nie było w naszej KD przypadku aby naruszono nietykalność cielesną obywatela będącego w areszcie. Owszem, w dalekiej przeszłości takie wypadki się zdarzały, nie ukrywam tego.

— Jak to się skończyło?

— Wyrokiem sądowym w stosunku do milicjanta. Chciałbym jednak złożyć tu pewne wyjaśnienie: otóż do aresztu trafiają osobnicy zachowujący się skandalicznie, arogancko i wyzywająco, a wówczas trzeba ogromnego opanowania i siły woli, by nie sięgnąć po pałkę. Natomiast ludziom stojącym z boku, wydaje się, że do naszego aresztu trafiają niewinni marzyciele lub ludzie posługujący się na co dzień językiem salonowym. Czy stosujemy inną przemoc: owszem — agresywnego łobuza czasami musimy zakuwać w kajdanki.

— W ubiegłym roku trafiła do moich rąk publikacja KOR, w której mówiło się, że milicjanci są winni śmierci pewnego mieszkańca Łodzi. Były podane nawet nazwiska tych milicjantów...

— Znam tę publikację, było w niej wiele insynuacji, a do samej sprawy została dopisana legenda potrzebna dla wiadomych celów. Mimo że sprawa nie dotyczyła mojej dzielnicy, znam tamten przypadek dobrze. Na Bałutach została zgwałcona kobieta, do tego w sposób wyjątkowo brutalny. Pracownicy KD Bałuty w wyniku czynności śledczych ustalili sprawcę i został on zatrzymany. Jednakże w chwili jego zatrzymania był on pijany, więc zawieziono go do izby wytrzeźwień. Tamtejszy lekarz stwierdził, że stan zatrzymanego jest wynikiem nie tyle alkoholu co zmian chorobowych i kazał odwieźć go natychmiast do szpitala. Niestety, na ratunek było za późno. Zmarł. Sekcja wykazała, że przyczyną śmierci był samoistny tętniak mózgu. Matka zmarłego nie zgodziła się z takim orzeczeniem. Wówczas prokurator zezwolił jej na powołanie innego zespołu badającego, złożonego z lekarzy, których sama wskazała. Ale pierwsza diagnoza została potwierdzona ponownie. Mimo to matka nadal nie wierzy ani ekspertom z WAM ani tym z Zakładu Medycyny Sądowej. Subiektywne odczucia matki mogą być takie a nie inne: dla niej zmarły był jej synem.

Przytoczę jeszcze jeden przypadek tego typu. Sądzę, że mieszkańcy ulicy Ogrodowej 2 jeszcze go pamiętają. Otóż na podwórzu znaleziono nieżyjącego mężczyznę. W toku dochodzenia ustaliliśmy, że właśnie na tym podwórku miała miejsce bójka podpitych młodych ludzi, w trakcie której jeden z bijących się upadł i już się nie podniósł. Dość szybko odnaleźliśmy uczestników owej bijatyki, a także sprawcę owego niefortunnego ciosu. Młody człowiek natychmiast się przyznał do zabójstwa, wyrażając rozpacz z powodu zabicia, jak twierdził, swojego najlepszego przyjaciela. Prokurator nawet przygotował przeciwko niemu akt oskarżenia. I co się okazało? W wyniku badań medycznych ustalono, że zmarły był chory na tętniaka mózgu i bójka nie miała nic wspólnego z jego śmiercią.

— Mam teraz inne, nie mniej drażliwe pytanie: czy to prawda, że w miesiącach sierpniu i następnych ub.r. cała MO była postawiona w stan pogotowia, gotowa do stłumienia strajków?

— Prawda jest taka, że pracowaliśmy w wydłużonym dniu pracy i byliśmy przygotowani na ewentualne przypadki wandalizmu, które mogły przecież zaistnieć w owych gorących dniach. Proszę sobie wyobrazić, że w Łodzi jest ok. 8 tys. ludzi z tzw. marginesu społecznego. To dużo, nawet bardzo dużo, prawie dwie dywizje potencjalnych sprawców, rozbojów, kradzieży i nadużyć. Ludzie ci, w okresie społecznych niepokojów, uaktywniają się. Zaszła więc niezbędna konieczność zabezpieczenia miasta przed ich agresywnością. Jednakże milicja nie była schowana za murami swoich komend, lecz jak co dzień patrolowaliśmy podległy nam teren.

— Mówiliśmy już o przywilejach MO, o sposobach represji, natomiast nie wspomnieliśmy o specyfice służby w dzielnicy śródmiejskiej.

— W zasadzie milicjanci pracują po 8 godzin dziennie. Jednakże w każdej chwili mogę zarządzić wydłużony dzień pracy, za który nie oddaje się dni wolnych ani nie płaci za nadgodziny. Poza tym są ogniwa organizacyjne, które pracują u nas „do zwycięstwa" Np. pracownik wydziału kryminalnego ustawowo ma prawo do 8-godzinnego dnia pracy, lecz w przypadku odkrytego morderstwa czy zabójstwa, pozostaje na służbie tak długo, aż sprawca nie znajdzie się pod kluczem lub nie dokona tylu ustaleń by w najbliższej przyszłości sprawcę można było ująć.

A teraz parę słów o Śródmieściu. To pępek Łodzi. W ogóle Łódź jest unikatem jeśli chodzi o zagęszczenie: np. w Śródmieściu na 1 km kw. przypada 19 tys. osób! Do tego dochodzi ruchliwość łodzian: dziennie przewija się tu 1,5 mln ludzi! Tu mieści się handel, urzędy państwowe, kawiarnie, restauracje, hotele, teatry, sto procent lokali nocnych usytuowano w Śródmieściu, dworce PKP i PKS, większość linii komunikacyjnych prowadzi przez tę dzielnicę. Stąd mamy nasilenie kradzieży kieszonkowych, pijackich awantur, rozbojów, sporo chuligaństwa, meliny. Te ostatnie tworzą całe enklawy: Wschodnia, Włókiennicza... Społeczeństwo ma do nas pretensje, że na tych ulicach kwitnie handel obnośny alkoholem. Robimy *wiele, ale nieskutecznie, bowiem jest tego dużo,* a po drugie nie można zamykać człowieka za to, że niesie wódkę. O Wschodniej i Włókienniczej mówi się „nocne delikatesy". Trudność naszego działania polega także i na tym, że aby zatrzymać handlarza wódką musimy mieć świadka, że ów handlarz sprzedaje alkohol. A kto się przyzna, że kupił wódkę u spekulanta. Z innych plag Śródmieścia wymienię prostytucję i handel obcą walutą. Prostytucja pleni się nadal, choć coraz mniej jest zaniedbanych, brudnych i niechlujnych kobiet wystających w bramie, natomiast zwiększyła się ilość pań ze średnim i wyższym wykształceniem, eleganckich, często znających obce języki, które urzędują w lokalach gastronomicznych. Nasze prawo nie ściga prostytucji o ile nie zostaje zakłócony porządek publiczny. Natomiast co do handlu walutą, to muszę się pochwalić: nasza KD oraz KD Stare Miasto w Krakowie są najbardziej efektywnie pracującymi komendami w kraju w zwalczaniu przestępczości dewizowej.

— Czasem spotykamy się z opinią, że milicji jest za dużo, innym razem, że za mało. Ilu milicjantów liczy Komenda Śródmieście?

— Stan etatowy podlega tajemnicy, mimo to określę w przybliżeniu ilość pracowników KD: jest nas około 200 osób.

— Ilu z tego patroluje ulice?

— 70. Ale mam w tej chwili 8 wakatów. Część ludzi choruje, część jest na urlopach. A mając czterobrygadowy system pracy, do służby wychodzi praktycznie 7—8 osób z kompanii patrolowej. To są nasze własne siły, bowiem Śródmieście jest zasilane dodatkowo przez ZOMO — 10 do 20 osób na zmianę. Niestety funkcjonariusze z ZOMO nie są w stanie wykonać wszystkich zadań, stąd konieczność wysyłania naszych patroli. Programując służbę, preferujemy porę wieczorowo-nocną, stąd może być wrażenie, że w dzień jest za mało milicji na ulicach.

— Osobiście odnoszę jednak wrażenie, że właśnie w dzień jest was za dużo, czasem cała ulica jest aż niebieska od mundurów. Stąd może pojawiające się komentarze, że milicjanci boją się nocy i wolą działać w dzień.

— *Wyjaśniam:* zdarza się, że ci z ZOMO wychodzą naraz wszyscy na ulicę, do tego na Piotrkowską i chodzą po niej parami. Są to przecież żołnierze odbywający służbę w MO. Osobiście nie wiem ilu jest wszystkich milicjantów, ale wiem jedno: w Łodzi jest nas za mało dla zapewnienia całkowitego bezpieczeństwa.

— No dobrze, ale dlaczego nie można tych z Piotrkowskiej wysłać w boczne uliczki? Istnieje przekonanie, że mamy w mieście „zakazane rewiry", tzn. miejsca, do których milicja nie zagląda.

— To nie tak. Patrole wysyłamy w miejsca największego zagrożenia, w pasie Wólczańska — al. Kościuszki — Piotrkowska. Natomiast w bocznych uliczkach, takich jak Zelwerowicza, Tkacka itp. penetracja przebiega z tzw. doskoków, gdyż tam zagrożenie jest mniejsze.

— A Wschodnia, Włókiennicza, Traugutta?

— Wiemy, że jest nas tam za mało. Prawda bowiem wygląda tak, że każdy patrol, który tam się pojawia, natychmiast jest zmuszany do interwencji w bójce lub innym zajściu i z reguły zabierają kogoś do komendy. A więc zanim takiego delikwenta zaprowadzą do KD, spiszą protokół, wrócą — już jest kolejna scysja, kolejna okazja do interwencji. I tak przez całą dobę. Niestety, nie mamy tylu ludzi by móc wysłać tam pluton czy kompanię. A pojedynczy milicjant nie ma się co tam pokazywać...

— Jakie kryteria obowiązują przy przyjęciu do pracy w milicji?

— Dość rygorystyczne. Po pierwsze — przynajmniej średnie wykształcenie, po drugie — niekaralność i nieskazitelna opinia samego kandydata jak i jego rodziny, po trzecie — limit wieku do lat 30 i ostatni warunek — nie niższy niż 170 cm wzrostu.

— Macie także dość wysokie zarobki...

— Owszem, stawka wyjściowa wynosi 5.500 zł. Ale należy wziąć pod uwagę rodzaj służby, w czasie której byle pijak może człowiekowi naubliżać, opluć go, znieważyć.

— Czy w MO istnieje takie pojęcie jak weryfikacja?

— Ależ oczywiście. Podlegają jej codziennie wszyscy nasi pracownicy. Milicjant bowiem musi prezentować sobą pewną kulturę bycia tak w domu jak i na służbie. Bierze się także pod uwagę jego predyspozycje, zaangażowanie, roztropność, inteligencję itp. Jeśli nie odpowiada określonym zasadom — musi odejść. Ale odchodzą ludzie od nas także ze względu na ciężką pracę ,ze względu na choroby. Czasem zadaję sobie pytanie: skoro istnieje przekonanie, że w milicji jest tak dobrze, dlaczego mamy tyle wakatów? Proszę mi wierzyć, mamy ogromne trudności z naborem nowej kadry. Czasem myślę, że przyczyną jest trudna praca, choroby układu pokarmowego, których łatwo się u nas nabawić, nerwice o dużym stopniu nasilenia, choroba Bürgera, skomplikowane urazy wynoszone z różnych interwencji w bójkach... Może to odstrasza? Sam już nie wiem.

— Z trudnych pytań jakie przygotowałem, mam także pytanie dotyczące mandatów karnych. Istnieje przekonanie, że milicjanci *dlatego tak chętnie karzą ludzi mandatami,* gdyż mają z tego określony profit w postaci gratyfikacji od zebranych sum.

— To nieprawda. Wyjaśniałem już to prasie kilkakrotnie, powtórzę raz jeszcze: nie mamy żadnych planów nakładania mandatów i nie mamy z tego tytułu pieniężnych dodatków. Wpływy z mandatów zasilają budżet miasta. W naszych zaleceniach dla służb porządkowych dominuje jedno: mandat winien być stosowany w przypadku złośliwego naruszenia prawa.

Na marginesie naszej rozmowy chcę powiedzieć, że milicjanci nie zjawili się z jakiejś innej planety, lecz wywodzą się z tego samego społeczeństwa zamieszkującego dorzecze Odry i Wisły. I milicjanci są tacy, jakie jest społeczeństwo. Toteż nie możemy mówić, że milicjanci to inna kategoria Polaków: lepsza uprzywilejowana. Jesteśmy aparatem ucisku, to prawda, ale zostaliśmy powołani do ochrony społeczeństwa, do zabezpieczenia jego zdrowia i jego mienia. Dzięki naszym wysiłkom przestępczość w dzielnicy śródmiejskiej poważnie się zmniejszyła. Np. w 1979 r. mieliśmy u nas 2 gwałty w zeszłym roku już tylko jeden. Podobnie jest z włamaniami: w sumie w roku ub. zanotowaliśmy 480 włamań. Najwięcej jest ich do samochodów i mieszkań, gdyż staliśmy się społeczeństwem zasobniejszym, bogatszym i złodziejowi już nie bardzo się opłaca włamanie do kiosku.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

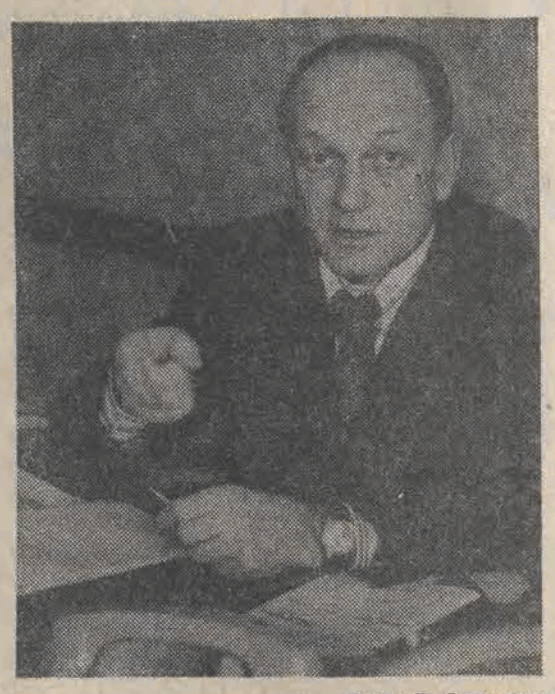

Foto: R. Łucyszyn

WŁODZIMIERZ MATYKIEWICZ: ...„milicjanci są tacy, jakie jest społeczeństwo".

LISTY DO REDAKCJI

„CO SIĘ STAŁO Z LICEUM IM. MICHAŁA KAJKI?"

Była to szkoła powstała wśród ruin Bałut, w lutym 1945 roku, przy ul. Krawieckiej 5, przeniesiona w następnych latach do budynku szkolnego przy ul. Spornej 73. Organizatorem szkoły był mgr Zenon Kowalski. Szkoła, której sztandar, ufundowany przez Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich w Łodzi, wręczył zasłużonemu dyrektorowi tej szkoły, mgr Józefowi Piorunowskiemu — syn Michała Kajki.

Kim był Michał Kajka? Cieśla mazurski, piewca o pięknie i tradycjach historycznych Mazur i Warmii, nieugięty bojownik o sprawę polską, o język ojczysty — polski dla dzieci polskich na Mazurach i Warmii.

Ten chłop mazurski, poeta ludu mazurskiego, piszący swoje przepiękne wiersze na deskach i skrawkach papieru, nadawał się właśnie na Patrona szkoły, XI Liceum Ogólnokształcącego, powstałej wśród ruin robociarskiej dzielnicy Bałut po wyzwoleniu naszego miasta przez Armię Radziecką i Ludowe Wojsko Polskie w styczniu 1945 roku. Szkoła ta była symbolem naszej nowej rzeczywistości społeczno-politycznej, odbudowy kraju z ruin oraz łączności z odzyskanymi Ziemiami Zachodnimi i Północnymi, które po latach niewoli prusko-niemieckiej wróciły na zawsze do swej Macierzy, Polski. Był to twórczy ośrodek pracy wychowawczej całego grona Rady Pedagogicznej i młodzieży, zorganizowanej w Kole Przyjaciół Warmii i Mazur. Do tej szkoły na jej wewnętrzne uroczystości przybywali nauczyciele, młodzież i działacze społeczno-polityczni Warmii i Mazur oraz tacy współcześni poeci i pisarze, jak Maria Zientara-Malewska, Władysław Gębik — dyrektor sławnego Gimnazjum Polskiego w Kwidzyniu w latach 1937—1939 i za czasów hitlerowskich.

Mam pełne i uzasadnione prawo o powtórzenie pytania, jakie zadałem na X Zjeździe Delegatów Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łodzi w dniu 14 stycznia 1981 roku, kto wydał decyzję o zlikwidowaniu XI Liceum Ogólnokształcącego im. Michała Kajki w Łodzi? gdzie jest sztandar tej szkoły, ufundowany przez Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich w Łodzi, i trzecie zasadnicze pytanie — gdzie są albumy, portret M. Kajki, pamiątki z przebogatego dorobku wychowawczego tej szkoły? Co stało się z pomocami naukowymi i sprzętem skrzętnie gromadzonym przez Dyrekcję i Komitet Rodzicielski tej zasłużonej placówki szkolnej, mającej swój wspaniały łódzki, robociarski rodowód, budowy tej szkoły wśród zgliszcz i ruin Bałut od lutego 1945 roku.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, czy jakiegoś innego związku zlikwidowano rówież w Łodzi XIX Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza przy ul. Wólczańskiej — ośrodek współpracy z Serbami Łużyckimi, zamieszkałymi w NRD. Obie szkoły likwidowała ta sama osoba.

Intensywną współpracę społeczno-kulturalną m. Łodzi i dawnego województwa łódzkiego z naszym braćmi Serbami Łużyckimi w NRD oraz z Ziemiami Zachodnimi i Północnymi, które wróciły po latach germańskiej niewoli do Macierzy, prowadziło Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich w Łodzi, rozwiązane w 1971 roku przez władze centralne na terenie kraju. W Łodzi pozostał tylko Naukowy Zespół Niemcoznawczy, który od 10 lat działa w ramach Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Działacze TRZZ, grona nauczycielskie obu zlikwidowanych szkół, którzy składali przyrzeczenie solidnej pracy i nauki na te sztandary oraz działacze społeczni Komitetów Rodzicielskich tych szkół winni, moim zdaniem, otrzymać na postawione pytania zasadniczą odpowiedź. Ja jej nie mogę im udzielić, bo sam nie wiem.

Celem wyjaśnienia, dlaczego zabrałem ponownie głos w 36 rocznicę wyzwolenia m. Łodzi i województwa łódzkiego, odpowiadam:

— W dniu 22 stycznia 1945 roku wróciłem po prawie 6 latach tułaczki do Łodzi w charakterze organizatora szkolnictwa na terenie m. Łodzi i województwa łódzkiego z ramienia ówczesnego Ministerstwa Oświaty Tymczasowego Rządu Polskiego w Lublinie (delegacja z dnia 20 stycznia 1945 r.).

— Po zorganizowaniu i uruchomieniu szkolnictwa na terenie Łodzi i województwa zostałem naczelnikiem Wydziału Szkół Średnich Ogólnokształcących na m. Łódź i woj. Łódzkie.

— Jako członek Rady Naczelnej Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich, a uprzednio Polskiego Związku Zachodniego (rozwiązanego 1.IV. 1950 r.) i sekretarz Zarządu Okręgu Łódzkiego TRZZ, ufundowany przez Łódzki Zarząd TRZZ sztandar wręczałem synowi Michała Kajki celem dalszego przekazania XI LO im. M. Kajki.

dr KAROL PRZESMYCKI

P.S. Moim zdaniem, sztandary obu zlikwidowanych szkół, portret M. Kajki, albumy pamiątkowe itp., winny znaleźć się w Muzeum Historii Miasta Łodzi.

TEATR

PRZEPROWADZKA

Sztuki australijskie rzadko trafiają na na nasze sceny. Przyczyn jest zapewne wiele, odległość fizyczna i myślowa wydaje się być jedną z nich. Jedną, ale przecież nie jedyną. Dziś odległość nie stanowi już tak istotnego i trudnego do rozwiązania problemu. Elementem warunkującym upowszechnianie wytworów każdej sztuki jest dziś za to w większym niż kiedykolwiek stopniu ich jakość artystyczna. I tu stwierdzić należy od razu, że dramat i teatr nie był nigdy, a nie jest też i teraz, najmocniejszą stroną australijskich twórców. Wciąż obecne tu wpływy angielskie nie sprzyjają narodzinom oryginalnej dramaturgii. Pozostaje ona bliska angielskiej myśli teatralnej i szczerze mówiąc w dzieło współczesnej dramaturgii światowej nie wnosi niczego nowego, a przez to nie ma w nim swojego udziału.

Te refleksje, które snuć można na podstawie przekazów informacyjnych, recenzji, omówień nowości, sprawozdań z festiwali i przeglądów potwierdza autopsja. I jeśli owe przekazy informacyjne pozwalają jedynie na przypuszczenia to bezpośredni kontakt z jedną bodaj, za to z całą pewnością „eksportową" pozycją dramaturgii australijskiej, pozwala na formułowanie twierdzeń tym bardziej, iż sztuka ta przychodzi do nas w aurze dzieła, które w swoim kraju stało się wydarzeniem i otwiera drogę oryginalnej twórczości scenicznej, Tą eksportową sztuką australijską, która dotarła na nasze sceny (prapremiera polska odbyła się w warszawskim Ateneum) jest utwór **Davida Williamsona** pt. **„Przeprowadzka"**. Łódzkim widzom prezentuje ją w reżyserii **Feliksa Falka** Teatr im. Jaracza.

Każdemu, kto przed rozpoczęciem spektaklu ma zwyczaj czytać teksty zawarte w teatralnym programie nie pozostaje podczas tego przedstawienia nic innego, jak tylko sprawdzanie, w jakim stopniu teatr realizuje zamiary i intencje autora. On zaś bowiem (w przedrukowanym z „Dialogu" artykule) mówi nam o swojej sztuce wszystko i z bliżej nie wyjaśnionych powodów nie zostawia widzowi żadnego marginesu, najmniejszej choćby dowolności interpretacji. David Williamson (a za nim nasz teatr) najpierw „Przeprowadzkę" dokładnie streszcza, potem barwnie charakteryzuje jej bohaterów, dalej zaś jasno wykłada psychiczne motywacje ich działań, rozwiązuje symbole, wyjaśnia nie nazbyt trudną metaforę, formułuje narzucające się uogólnienie i mówi „co chciał przez to powiedzieć" Takiemu więc widzowi, który z treścią artykułu autora zapozna się przed podniesieniem kurtyny spektakl nie przynosi niespodzianki i niczym nie zaskakuje. Można jedynie stwierdzić, że konstrukcja i wymowa sztuki zgodna jest z zamysłem autora, a fabuła, której genezę podaje on zresztą także, zarysowana zgodnie z wymogami sztuki dramaturgicznej jest celnie wybranym pretekstem do sformułowania pożądanego uogólnienia.

Sceniczna realizacja tekstu Williamsona jest równie sprawna jak ów tekst. Spektakl ma właściwe tempo, akcja rozwija się we właściwym rytmie i właściwej temperaturze emocjonalnej. W niewielkim posterunku policji, którego obsadę stanowią dwaj funkcjonariusze tej służby: stary wyga, skorumpowany i sprytny, z którego oczu biją jakieś niedobre patologiczne cechy i młody „świeżo upieczony" adept policyjnej profesji, zjawiają się dwie panie. Jedna bezwolna i głupiutka wyraźnie ulegając drugiej składa skargę na męża i korzysta ze zgłoszonej przez starszego policjanta propozycji pomocy w zorganizowaniu przeprowadzki lub raczej odejścia od męża, który acz opisany jako okrutnik z całą pewnością nim nie jest, a przynajmniej nie tylko on ponosi winę za rozpad małżeństwa. Intencje policjantów są jasne, acz bynajmniej nie czyste i gdy przychodzi do owej przeprowadzki oni właśnie stawiającego opór męża po prostu katują na śmierć. „Rozsądnie byłoby jak sądzę, interpretować tę sztukę przede wszystkim jako obraz wzajemnych stosunków między trzema mężczyznami, którym wychowanie dało tylko bardzo ograniczone i prymitywne spojrzenie na człowieka" — oto słowa autora. Widz stara się tak właśnie interpretować „Przeprowadzkę", mimo, iż teatr mu w tym nie pomaga. Spektakl jest bowiem tak dosłowny w rozwiązaniach sytuacyjnych nakreślonych przez reżysera, scenografii zaprojektowanej przez **Teresę Smus-Barską** i działaniach aktorskich, że swoim hipperrealizmem i zagęszczoną rodzajowością zabija wszelką metaforę. Jest w istocie teatralną opowieścią o trzech różnych, choć jednako prymitywnych mężczyznach, ale opowieść ta nie rodzi uogólnienia pozostając jedynie emocjonującym zdarzeniem. Jednostkowym lub nawet jednym z wielu, tyle, że nasycenie barwy tego teatralnego wyrazu nie pozostawia miejsca na żaden odcień szerszej interpretacji. Winą za to obarczam reżysera, aktorzy bowiem zdają się precyzyjnie konkretyzować jego wizje i realizować postawione zadania. Reżyser zaś zbytnio chyba zaufał rysunkowi ostatniej sceny, której metaforyczne znaczenie i siła okazały się nazbyt wątłe w stosunku do ciężaru dosłowności całego widowiska. Aktorzy koncentrując się na wykonaniu zadań i zagraniu swoich spraw scenicznej teraźniejszości nie pokazali nam psychicznego rodowodu swoich postaci, ani warunkujących ich rysunek tych cech charakteru i osobowości, z których narodziły się postawy jakie zobaczyliśmy na scenie i o jakich powiedział nam autor. W narzuconej przez reżysera rodzajowości, w owym hiperrealizmie wykonują swoje zadanie jedynie poprawnie, o co zresztą trudno mieć pretensje, bo każde wyjście poza tak nakreślone ramy spektaklu byłoby rozbijającym go zgrzytem i jeszcze bardziej podkreślało ową i tak zbyt wielką dosadność całości. Konstruują więc raczej „typy" niż indywidualne „charaktery" starając się o konieczną plastykę i jedynie ostre, a nie półtonowe barwy aktorskiego wyrazu. Są elementem kompozycyjnym realistycznego obrazu pewnego zdarzenia, które miało miejsce gdzieś i kiedyś, w jakimś punkcie świata. Tak „ustawieni" przez reżysera wykonują swoje zadania bez zastrzeżeń i z wielką aktorską sprawnością **Bogusław Sochnacki** i **Leszek Zdybał** w rolach policjantów, **Jan Peszek** w roli męża, **Bożena Rogalska** i **Zofia Tomaszewska** w rolach żony i jej siostry, **Paweł Kruk** w niewielkiej roli tragarza od przeprowadzek.

EWA PANKIEWICZ

David Williamson: „Przeprowadzka". Na zdjęciu: B. Sochnacki, L. Zdybał i J. Peszek

ESTRADA

„FAUL"

Duch przemian dotarł już nawet w pobliże łódzkiego „showbyznesu", gdzie w pierwszej kolejności (acz między innymi) okiełznał rwący nurt twórczości satyrycznej dyr. Jóźwiaka i pienia Jagi Paduch. I choć nie wiemy jeszcze, co w PP „Estrada Łódzka' zastąpi dyrektorski „wielki szpan" i „życie seksualne dzikich", na zwiastun nowego uznać można monodram pt. „FAUL", zrealizowany środkami skromnymi i bez podpierania się strip-teasem na scenie tzw. Teatru Rozrywki (służącego dotąd głównie kabaretom).

Tym razem — odwrotnie niż tu praktykowano — mamy do czynienia z dobrą literaturą. Za kanwę dla monodramu posłużyła „piłkarska powieść" **Andrzeja Makowieckiego** pt. **„Kwadrans śpiącej królewny"**, która przed dwoma laty — nie tylko za sprawą Mundialu — szybko zniknęła z księgarń.

Przedsięwzięcie trafia w klimat okresu rozrachunków, które — miejmy nadzieję — nie ominą również sportu, a w tym piłkarskiego światka, rządzącego się — o czym wiadomo od dawna — własnymi, wcale nie lepszymi prawami, niż inne sfery społecznego życia. Autorka adaptacji **Magdalena Mikulin** zrezygnowała z wielu pobocznych wątków i obyczajowych opisów (np. z retrospekcji brazylijskiej), skupiając się na przedstawieniu zasadniczego tematu: konfliktu między głównym bohaterem-piłkarzem a jego sportowymi mecenasami. Nie pominęła przy tym szczegółów i aluzji, które — zgodnie z sugestią pisarza — przybliżają opisane sytuacje do naszych realiów, nie pozbawiając ich jednocześnie założonej przez autora „geograficznej uniwersalności".

Widzowie słuchają więc opowieści znanego piłkarza, który stał się narzędziem zakulisowych manipulacji i wraz z bohaterem-rekonstruującym przebieg wypadków i towarzyszące im refleksje — przemierzają jego drogę: od momentu uświadomienia sobie ciemnych machinacji przez fazę dojrzewania buntu aż do decyzji walki, w imię przywrócenia środowisku godności i etycznych zasad. Do realistycznie widzianego obrazu piłkarskiego świata twórcy spektaklu — podążając za autorem książki — wnoszą jednak nutę optymizmu. Znaleźć ją można w tezie, że nawet po wielu latach codziennego obcowania jednostki z brudem i nieprawością, może w niej zrodzić się opór i chęć czynnego przeciwstawienia się złu. Optymizm tkwi także w przekonaniu o możliwości zwycięstwa, nawet jeśli jest to „tylko" mało spektakularne zwycięstwo m o r a l n e. Bunt Maksymiliana Dragana podsyca więc jakby naszą wiarę w prawdziwszy, lepszy sens sportu, gdzieś z dala od interesów wielkiej i małej polityki, poza światkiem niemoralnych działaczy, zepsutych piłkarzy i przekupnych sędziów.

Trzeba przyznać, że dzięki adaptacji, która — mimo konieczności skrótów i kondensacji — nie uroniła wiele z walorów prozy A. Makowieckiego, z zainteresowaniem słuchamy spisanej jędrnym, plastycznym językiem opowieści zbuntowanego sportowca, zaplątanego w ciemnych kulisach współczesnego piłkarstwa. Wszystkie ważne z dramaturgicznego punktu widzenia miejsca i zawęźlenia tej opowieści z wyczuciem podkreślił reżyser spektaklu **Paweł Kruk**, korzystając z pomysłów prostych, a przy tym funkcjonalnych. Aktor **Jerzy Korsztyn** (na co dzień związany z Teatrem Powszechnym) w portrecie sportowca osiągnął duży stopień fizycznej i psychologicznej autentyczności. Można przypuszczać, że kolejne spektakle prawdopodobieństwo to pogłębią i nadadzą aktorskiej interpretacji nieco więcej swobody. Odnoszę również wrażenie, że wykonawca monodramu w niepełnym jeszcze stopniu wykorzystuje możliwości tkwiące w stylu prozy Makowieckiego. Tymczasem przez swe zbliżenie do naturalnego języka styl ten pozwala — jak mi się wydaje — wygrać na korzyść nawet nieuniknione w godzinnym monodramie potknięcia, pamięciowe czy dykcyjne. Mieszczą się one bowiem niejako w ramach silnie nasyconego kolokwialnością języka tej prozy, a nawet — świadomie użyte — mogą stać się jej dodatkowym swego rodzaju walorem. Jest to jednak sprawą nie tyle głębszego wsłuchania się w brzmienie i rytm języka, ile większej śmiałości i swobody w operowaniu tekstem.

TOMASZ SOLDENHOFF

„Faul" wg powieści A. Makowieckiego „Kwadrans śpiącej królewny", adapt. — Magdalena Mikulin, reż. — Paweł Kruk, muz. — Zbigniew Wojciechowski. Premiera — 6 stycznia 1981 r. Spektakl pokazywany jest w Teatrze Rozrywki „Estrady Łódzkiej" (ul. Narutowicza 28).

MUZYKA

LUX AETERNA

W lipcu 1791 r. Mozart pisał do żony: *„Nie mogę ci opisać mojego uczucia jest to jakby wrażenie pustki, bardzo bolesne, jakaś tęsknota, której nie można zaspokoić, która nigdy nie ustaje, nie tylko ciągle trwa, ale rośnie z dnia na dzień"*. W połowie listopada zdrowie Mozarta pogorszyło się do tego stopnia, że już nie wstawał z łóżka. 5 grudnia kompozytor zmarł i następnego dnia został pochowany we wspólnym grobie dla najuboższych, gdzie składano po szesnaście trumien w czterech warstwach, które co 10 lat wykopywano, aby zrobić miejsce dla nowych.

Zobligowany tajemniczym zamówieniem nieszkodliwego maniaka w ostatnich miesiącach swego 35-letniego życia Mozart pisze Missa de requiem — mszę za zmarłych, dokończoną przez jego ucznia F. X. Süssmayra. Jest to najstarsza przedstawicielka mszy wotywnych, które były ex voto zamawiane przez wiernych na intencję ulżenia duszom cierpiącym w czyśćcu. Sama nazwa Requiem jest początkowym słowem Introitu (wstępnej części mszy), tekstu opartego na cytacie z IV Księgi Ezdrasza Struktura liturgiczna Requiem odpowiada mszy normalnej, tyle że opuszcza tu się radosne Gloria i Credo, w miejsce zaś Alleluja wprowadza rymowaną sekwencję Dies irae napisaną na przełomie XII/XIII w. być może przez Tomasza z Celano, jakże wymowną w swym eschatologicznym nastroju (tłum. L. Staff):

W gniewu dzień, w te pomsty chwile
Świat w popielnym legnie pyle.
Kiedy sędzia więc zasiędzie,
Wszystko tajne, jawnym będzie,
Gniewu dłoń dosięże wszędzie.
Cóż mam nędarz ku obronie?
Czyją pieczą się zasłonię,
Gdy i święty zadrży w łonie?

Obecnie, z dalekiej perspektywy czasu, można stwierdzić, że Mozart, chyba jako pierwszy stworzył dzieło nie związane z jakąś określoną religią (uważany był bowiem za wolnomularza i „ateistę"), lecz prawdziwe mistyczne dzieło sztuki, wskazujące na istnienie czegoś p o z a światem i sztuką. Tradycję tę kontynuowali potem Schubert, Bruckner i Mahler, szczególnie rozwijając ideę ekstatycznego adagia, rozpoczynającego Requiem, eksponując „mistyczne brzmienie" muzyki, otwierające drogę do tragicznych i niesamowitych głębi ich utworów. *„Tragizm* — pisał Juliusz Kleiner — *jest estetycznym wyzyskaniem walorów emocjonalnych oraz ideowych śmierci — owego wstrząsu duchowego jaki wywołuje zetknięcie ze śmiercią. Tragizm to konieczność przedwczesnego zniszczenia wielkiej wartości"*.

Niestety, wykonanie Requiem Mozarta (KV 626) przez orkiestrę i chór FŁ (przygotowanie chóru Marek Jaszczak) z udziałem Delfiny Ambroziak — sopran, Izabeli Kobus-Udorowieckiej — mezzosopran, Henryka Grychnika — tenor, Włodzimierz Zalewskiego — bas, pod dyrekcją Zdzisława Szostaka nie miało wiele wspólnego z opisanym wyżej nastrojem tej muzyki. Już od początkowych taktów Kyrie zdumiewało zbyt szybkie tempo i mocne akcentowanie fraz. Chór śpiewający niezbyt czysto, na „krótkim oddechu", osiągnął maksimum swoich możliwości już w fudze Kyrie eleison, skutecznie niwecząc wrażenia następującego Dies irae krzykliwością i szybkością wykonania. Wpadka puzonisty na początku Tuba mirum na pewno nie pomogła kwartetowi solistów, śpiewających mimo tego zamieszania w sposób bardzo wyważony, lecz pozbawiony głębszego związku z treścią utworu. Uwagę zwracał głęboki bas Włodzimierza Zalewskiego, wyraźnie jednak odbiegający swą barwą od pozostałych, lżejszych głosów.

Wydaje się, że nie tyle niedostateczna ilość prób chóru i orkiestry przyczyniła się do tego nieudanego wykonania, co koncepcja dyrygenta usiłującego pokazać Requiem w sposób „nowoczesny" i kanciasty. Już dawno stwierdzono, że Mozart, jak żaden inny kompozytor, nie wymaga żadnych poprawek, retuszy czy uwspółcześnień. Im prościej i naturalniej wykonuje się jego utwory, tym wspanialej okazują one całe swoje piękno. „Położone" Lacrimosa z końcowym, silnie wyeksponowanym crescendo kotła dowiodło tego w sposób jednoznaczny.

Chyba najlepiej wypadło motetowo ukształtowane przez kompozytora Domine i Hostias z pianissimem chóru, przekazujące coś z owej aury śmierci, która nie jest przerażającym widmem, lecz przyjacielem. Jednak po kilku minutach podskakująca jak na sznurku fuga Hosanna w Sanctus zupełnie zniweczyła tę atmosferę. Końcowe Lux aeterna do którego Süssmayr podkłada muzykę początkowego Requiem aeternam, ratuje dzieło jeszcze raz dla Mozarta, wewnętrzna sprzeczność zostaje w pewnym stopniu przezwyciężona, lecz wymęczony chór i niedbale grająca orkiestra nie są już w stanie roztoczyć wizji światła wieczności unoszącego się nad tą muzyką i jej kompozytorem, o którym powiedział Rossini: *„Beethoven jest największy, lecz Mozart jest jedyny"*.

JACEK KRAKOWSKI

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

RAPSOD NA ŚMIERĆ FRANKA BARTOSZKA

Franciszek Bartoszek, ps. „Jacek", artysta malarz, członek Dowództwa Głównego GL, poległ w akcji bojowej u wylotu ul. Traugutta w W-wie w 1943 roku.

Bermucki trójkąt w łuku Wisły:
Między Chrystusem, który dźwiga
W czas teraźniejszy i w czas przyszły
Krzyż, co we mgle ma kształt mauzera — —
Między pomnikiem Kopernika,
Co się zapatrzył w gwiazd pikietę
I trzyma globus, jak niewypał — —
A między Uniwersytetem,
Gdzie ongiś, w sześćdziesiątym pierwszym
Wpadła Kozaków sotnia dzika
I dokąd doniósł wiatr i echo
Jęk fortepianu Fryderyka,
Tu, gdzie w czterdziestym trzecim roku
Padł ranny bard żołnierskiej pieśni,
Co wieniec z lauru kładł na cokół
„Geniusza Słowiańszczyzny". Wcześniej
W kamiennej dżungli łez i jęku,
Z dziupli stalowej — ptak z ołowiu
Sfrunął po ostrej strunie dźwięku
Do krwi Twej, jak do wodopoju...
Wilkołak z trupią czaszką w herbie
Klęknął nad Tobą, kark zgiął nisko,
Nienasycony uniósł w hełmie
Czerwonej strugi ciepły wytrysk.

☆ ✠ ☆

Na asfaltowym płótnie jezdni,
Wpatrzony w jasne lustro nieba,
Namalowałeś autoportret
Czerwienią krwi i sepią cienia.

A jeśli padłeś z bronią w ręku,
A jeśli padłeś w akcji zbrojnej,
To znaczy — — dumny i bez lęku,
To znaczy, żeś był zawsze wolny.

MECZET TATARSKI W NOWOGRÓDKU

Oto hartował się w żarze słonecznym,
Czerniał, kamieniał w ostrych wiatrów falach,
Które spływały lawiną powietrzną
Z Góry Zamkowej i z Kopca Adama,
Z Pola Litewki i z Góry Mendoga
Z garbu kurhanu Aulija Kuntusia
Z podmiejskich Łowczyc, gdzie lud składał słowa
Ekumenicznych legend Białorusi.
Trzeszczał i skrzypiał pod ciężarem śniegu,
Grał jak ksylofon na sczerniałych deskach
Pod uderzeniem gradu wiosennego — —
Meczet tatarski z małego miasteczka.

Górą, nad miniaturką minaretu
Rozcina obłok lotna sygnaturka,
Jak brwi Allaha — dwuskrzydła jaskółka.
Nocą, w kołysce złotej Półksiężyca,
Gwiazda Orientu, mrugając, zasypia.

Na cmentarzysku tatarskim, w zieleni,
Trwają i milczą w kamiennych tablicach
Sny o stepowej, rozpalonej ziemi,
Gdzie Ułan wodził tatarską konnicę...
Tu, w muślinowych hamakach pajęczyn
Lśnią perły rosy — łzy tatarskich matek,
Wschód je ożywia kolorami tęczy
I wiatr wachluje rozświetlonym krzakiem.

Jakże zapomnieć imama na modłach,
Jak skośnooką zapomnieć dziewczynę
I chrześcijańską matkę, co mnie wiodła
Do świątyń progów. Także w tę świątynię.
14.XII.1980.

ŻONA, KWIATY I JA

moja żona hoduje kwiatki
ma ich całe przedszkole
pospolitych i rzadkich — —
siedzą na parapetach okien
na zboczach balkonu
na nocniczkach z doniczek
w kraterach wazonów
pełzną po ścianach
wiszą pod sufitem
klaszczą łapkami listków
śmieją się gwarzą
i opalają w słońcu barwne twarze

żona sprawdza codziennie
listę obecności
listek po listku — —
wywołuje po imieniu
i po nazwisku
potem je wyprowadza na spacer
na wysnutych z konewki smyczkach
w cieniste ogrody snów
przed pełnią księżyca
karmi je z ręki — —
łykają rosy srebrne kropelki
i witaminy słońca
i błękit

— — spójrz biały bratek zakwitł w nocy — —
mówi żona
— — spójrz zabłękitniało nad storczykami
— — spójrz na świeży listek rododendrona
— — spójrz jak kolce kaktusa posiwiały

a ja owinięty w płachtę gazety i w ciszę
wdycham drukarskiej farby zapach
i — — choć nie widzę i nie słyszę — —
mruczę pod nosem: — — Aha!

JERZY WILMAŃSKI

„Tak prędko, coraz prędzej"

Rozmawiamy sobie. Odrzuciłeś na ławkę papierową płachtę gazety. Lubisz czytać co roku — kiedy przygrzewa lipcowe słońce — te dziesiątki nazwisk...

Mówię: — Po co ślepisz nad tą gazetą. Napisz książkę. Bohaterem niech będzie robotnik; tematem — jego praca.

Odpowiadasz: — Nie mam aż takich ambicji. Chciałbym napisać kiedyś coś skromniejszego. Żeby bohaterem był człowiek, tematem jego życie...
No cóż, brak ci ambicji...

Antonio mówi źle po polsku, ale jego opowieść jest pasjonująca. Antonio jest rozbawiony przypominając drogę do cywilizacji szczepu Szatrów.

— Z pewnością całą oni zazdrościli białemu człowiekowi że żyje w cywilizacji, więc też oni chcieli zdobyć dla siebie te zdobycze cywilizacji. Ale w szczepie wybuchnął rozłam, bo jedni chcieli żyć jak ich przodki, a drudzy chcieli się cywilizować. Zwyciężyło stronnictwo, co się chciało cywilizować. To znaczy oni zwyciężyli tak, że wymordowali swoich avversario. Takie było ich pierwsze wejście do cywilizacji.

A potem zrobili wyprawę wojenną, zaatakowali jedną misję, gdzie wszystkich wymordowali, a dwóch misjonarzów zabrali ze sobą przez góry do Mato Grosso. I powiedzieli im:
— My chcemy też żyć w cywilizacji, jeść dużo ryżu i nie męczyć się na polowaniach. Macie nam dać dużo ryżu...

Na to misjonarze powiedzieli, że aby był ryż, muszą być uprawy, że on musi wyrosnąć. Szatrowie zrozumieli to i rzekli: „a więc trzeba takie puf-puf z kominem, co jeździ po polu i robi uprawę. Dobrze, my to przyniesiemy..."

Zrobili drugą wyprawę wojenną na farmę jednego Hiszpana. Wymordowali całą rodzinę ukradli traktor. Oni ten traktor przenieśli przez góry i nikt nie wie jak oni to mogli zrobić, ale przynieśli traktor misjonarzom.

Misjonarze wtedy powiedzieli, że ten traktor nie pojedzie bez paliwa. Na to Szatrowie zawołali: „ach, to taka woda, co bardzo jest tłusta i mocno śmierdzi... my to przyniesiemy..." Zrobili więc trzecią wyprawę, wymordowali obsługę magazzino, zabrali dwie beczki benzyny i przenieśli przez góry do Mato Grosso.
Ale misjonarze dalej nie mogli im dać ryżu i cywilizacji, no bo naprawdę nie mogli. Więc oni zabili tych misjonarzów..."

Taka była opowieść Antonia o tym, jak prymitywny szczep Indian z Południowej Ameryki chciał dojść do cywilizacji. Antonio, opowiadając tę historię, śmiał się ubawiony.

A tobie nie było do śmiechu. Ty słyszałeś niedawno inną opowieść:

„Gdzieś tak po drugiej, koło trzeciej, kiedy napięcie sięgało zenitu i już zaczęły się podpalenia — coraz liczniejsze, coraz bardziej agresywne watahy wyrostków rozbiegały się po sąsiednich ulicach. Wykipiała szumowina. Kiosk z truskawkami rozdeptano na miazgę. W magazynach sklepów lali benzynę i podpalali, a w sklepie wszystko rozbili, połamali, podeptali..."

„Około drugiej zaczęło się wywracanie samochodów. Jacyś wdarli się do sklepów: „jak nie zamkniecie, to was za łby wyciągniemy.."

„Poleciały wszystkie witryny w bibliotece wojewódzkiej. Sklep muzyczny zrabowany dokładnie: ustne harmonijki, flety, kilkanaście gitar elektrycznych i klasycznych, saksofon, bęben jazzowy, mandoliny, wzmacniacze, kilka magnetofonów z zaplecza — a przede wszystkim płyty".

„W sklepie włókienniczym baby aż się za włosy szarpały, wyrywając sobie bele materiału: puść, to moje! — i cięły je nożyczkami. Z monopolowego jakaś ciężarna wytaskała cały karton wódki, a za nią dreptały dwa kilkuletnie szkraby, z siatkami pełnymi butelek".

„Całe kartony z butami lecą przez okno wystawowe na ulicę, szyby w proszku, tłum w środku. Naokoło rusztowania pokotem leżały rozrzucone buty, a na butach rozdeptane ciastka, a tam w sklepie przewracali lady..."

Ponure te opowieści nie dają ci spokojnie zasnąć, wiesz bowiem, że twoja ludzka progenitura przypisała cię do obu tych opowieści. Do tej z Ameryki Południowej — choć nigdy tam nie byłeś — i do tej w Środkowej Europie, choć wstydzisz się do tego przyznać...

Jeszcze trwa noc. Umowna, bo to wszystko dziś się może i spełniać także w środku dnia. Na tę jedną noc (na ten środek dnia) składają się sekundy ułamki chwil, dławiące oddech. Wiem, że sam mógłbyś opowiedzieć tę chwilę, ale nie ogarniesz ogromu owych sekund.

Słuchasz więc, co mówi Enrique, zdumiony, że to przecież są także twoje słowa...

A Enrique wykłada:

— Każda kobieta zachowuje się w specjalny sposób, w chwili osiągania rozkoszy i każda ma jakieś zdanie, słowo, gest, tak z tą chwilą związane, jak rasowy tancerz z daną figurą taneczną ma związany pewien wyraz twarzy. To, co kobiety mówią w chwilach orgazmu, jest tak osobiste i tak niezmienne, jak odciski palców.

Różnorodność reakcji, gestów, okrzyków i zdań jest wręcz zdumiewająca. Niektóre kobiety o bardzo pięknych oczach w tym momencie dostają zeza; odwrotnie, niemal wszystkie zezowate na tę chwilę go tracą. Niektóre ograniczają się do głębokiego westchnienia, jakby zabierały się do wypoczynku po straszliwym zmęczeniu. Inne pojękują niby chore dziecko, albo wydają przenikliwy okrzyk, jeden jedyny przenikliwy okrzyk triumfu. Wiele kobiet chwilami wręcz rozdzierająco szlocha. Przez cztery lata — mówi Enrique — kochałem się w takiej, na twarzy której malował się wyraz bólu, tak straszliwego niepokoju i rozpaczy, że nie mogłem się powstrzymać i za każdym razem pytałem, czy cierpi, na co odpowiadała niezmiennie: „ależ nie, nie, jestem bardzo szczęśliwa".

Niektóre przybierają wyraz twarzy niechętny, pełen pretensji. Inne wyją, jakby z tęsknoty za dżunglą. Jeszcze inne milczą, zamykają oczy, skupiają się i niemal wstrzymują oddech, żeby nie uronić ani sekundy z tego przeżycia, a są i takie, które wyglądają jakby nadsłuchiwały jakiejś odległej muzyki...

Niektóre wymyślają i biją. Niektóre mówią czułe słowa. Jedne przytakują: „Tak! Tak! Tak!" a znowu inne jakby czemuś przeczyły: „Nie! Nie! Nie!" Ale czemu przeczą? Czemu przytakują. Nikt nie wie.

Niektóre zaciskają szczęki, całe się prężą. W gwałtownym wysiłku poruszają głową z jednej strony na drugą, co wygląda jak chorągiew łopocąca na wietrze, nagle padają płasko na łóżko z głuchym rzężeniem i potem długo leżą nieruchomo. Inne tracą przytomność, jeszcze inne płaczą...

W każdym razie wydaje się pewne, że mimo rozmaitości przypadków wszystkie kobiety mają coś wspólnego w zasadniczej reakcji: krzyczą, jęczą, wiją się... jakby to nie był moment rozkoszy, lecz cierpienia... Bowiem podniecenie, które wywołuje miłość, równa się fizycznemu cierpieniu. To cierpienie wzmaga się do granicy wywołującej spazm. I w tym momencie się kończy. Właśnie to nagłe ustąpienie bólu nazywamy rozkoszą miłosną...

— Tak, tak — miłość nie jest w końcu niczym innym niż ustąpieniem bólu...

Enrique nie jest postacią zmyśloną i nazywał się Iardiel Poncela. Żył naprawdę w Madrycie — strasznie dawno, bo jego sława skończyła się w roku przełomowym — i to was łączy. Ty się wówczas urodziłeś, a tam, w Hiszpanii, zaczęła się ta historyczna masakra, w której zabito Garcię Lorkę. I właśnie wtedy zapomniano w Hiszpanii o Enrique. Choć żył jeszcze prawie dwadzieścia lat, ta masakra była również masakrą jego ironicznych opowieści które przestały kogokolwiek interesować w czasach, gdy ironia stała się sprawą podejrzaną.

Twój rok urodzenia i rok śmierci sławy Enrique'a, jego bogate doświadczenie, które tak cię wzruszyło bliskością twoich wrażeń, sprawiły, że do tej nocy, do tego collage'u wkleiłeś skrawki jego nocy...

W tej mozaice zresztą prawdziwi są także: podróżnik Antonio i Pani Irena, Piotr W. i stary opój zza oceanu Ernie H., Pan Rysiu i Pan Kaziu, Rodzina Bulwa-Zalc, Figur i Gołąb, Wisielec i pisarz Rzepa, Piskorz i Buba...

W tym collage'u mało jest w ogóle literatury — przeważa dziennikarstwo stenografia klej i nożyczki. Nie napiszesz w nocie od autora, że wszystkie postacie stanowią wytwór fantazji i nie mają żadnego odpowiednika w rzeczywistości. W tym collage'u zmyślona i nieprawdziwa jest tylko jedna postać.

Właśnie ty.

Kłamiesz zresztą z tym collage'em. Rozumiem, że to wygodne, użyć obcego słowa, dorobić teorię wyklejki do własnej niemożności, do ubóstwa własnej refleksji... Ale skoro już jest tak jak jest — trzeba powiedzieć o tym wyraźnie.

Zwłaszcza, że twoja collage'owa fasada wcale nie jest gorsza od innych fasad, budowanych dla przesłonięcia niedostatków. Po prostu uległeś modzie. Sklejasz to wszystko mniej więcej tak jak skleja Wielki Prostaczek, choć robisz to o wiele gorzej, bo jesteś skazany na własną skalę umiejętności, własną wrażliwość własne ograniczenia. Z przerażeniem i zdumieniem zarazem przewracałeś kartki kalendarza i patrzyłeś w piasek przesypujący się w klepsydrze Wielkiego Prostaczka. Z przerażeniem, że To już zostało zrobione i zrobione o wiele lepiej niż ty potrafisz; ze zdumieniem, że To zostało zrobione właśnie tak jak ty chciałbyś zrobić.

I z rezygnacją, że jesteś skazany na własną niemożność.

Skazany więc jesteś na collage, na skrawki strzępy życia i literatury, które — myślisz — masz prawo uznać za tak bardzo własne, że wpisujesz je w swoją najdłuższą noc i najdłuższy dzień.

Kiedyś chciałeś pojechać do Hiszpanii, oczywiście równie dobrze mógłbyś chcieć polecieć na Księżyc. Ale na Księżyc nie chciałeś, a do Hiszpanii — tak.

Właściwie nie wiadomo dokładnie dlaczego akurat tam — może to owe hiszpańskie stare tanga, może ten przebój lat młodości: „Asturio, ziemio mych marzeń", może te egzotyczne nazwy: Kastylia, Andaluzja, Aragonia, Baskonia, Walencja, Katalonia... Kobiety w czerni, olśniewająca biel domów i błękit nieba... Landszaft.

Ale landszaft, jak każdy kicz, jest przecież nieprawdziwy. Bo naprawdę w owe lata było tam zupełnie inaczej. Zniszczono duchowy dorobek Republiki, zastępując go propagandą. Hiszpania stała się głodna i dzika. Retoryka nie korespondowała zupełnie z rzeczywistą sytuacją...
Roman S. napisze o tym po latach: „wizja świata telewizji nie była ani błękitna, ani purpurowa, lecz różowo-czarna. Wszystko, co działo się w Hiszpanii pokazywano na różowo — co na świecie w kolorze czarnym."
Stary pisarz, blisko stuletni José Martinez Ruis, mieszkający w Madrycie przy ulicy Zorilla 21, trzęsącymi się dłońmi szukał zwolnienia lekarskiego, gdy jeszcze w 1966 roku przedstawiciel komisji wyborczej odwiedził go wieczorem w domu. Stary pisarz, blisko stuletni José Martinez Ruis, wielokrotnie powtarzał tępemu funkcjonariuszowi, że nie może wyjść na ulicę, że nie symuluje i nie wymiguje się od udziału w wyborach, ale jest naprawdę chory.
Zostało to zaprotokołowane. Dziesięć lat później przypomniano z gorzką ironią ów strach wiekowego pisarza.

Ale przecież były w Hiszpanii te czarno ubrane kobiety, białe, wapienne ściany domów i błękit nieba. Był ów landszaft pod twoją powieką... Tylko, że to jednak strasznie mało jak na kraj, na naród.

Noc powoli jaśniała, gdzieś za rusztowaniami jeszcze tonącymi w mroku rozlewało się różowo-pomarańczowe pasmo; zbliżał się przedświt w kolorze yellow bahama. Otworzyłeś jedno oko, potem drugie. W radio wypalał się nocny program, zmęczeni prezenterzy puszczali non stop muzykę... „Otwórz oczy, bo już dzień" śpiewał zespół „Arianie"...

Miałeś oczy otwarte, pod powiekami piasek. Dławił cię całą noc brak powietrza, żebro ściskała niewidoczna obręcz.

Parę dni później okazało się, że musisz przerwać gonitwę, że już czas na rezygnację. Jeszcze tego końca nie rozumiałeś, jeszcze wirowały wokół ciebie różne sprawy, próbowałeś je chwytać. Bardziej z nawyku niż potrzeby.

Powiedziałem ci wówczas: „Masz w tym dniu jeszcze parę swoich własnych spraw, swoich ważnych zobowiązań, jeszcze wiele razy będziesz sobie mówił: m u s z ę i to będzie naprawdę konieczność i obowiązek.

Ale, na Boga, nie jest twoją sprawą ten szmaciany interes z karuzelą głupków robiących karierę na cudzych bezsennych nocach. Oni mają sen dobry, trawią znakomicie, wiedząc, że ich szmaciany interes jest w twoich rękach. Zostaw ich... Pamiętaj, że masz w tym dniu parę ważnych spraw."

A na dworze pochmurniało. Ludzie podnosili wzrok ku górze jakby w oczekiwaniu na przejaśnienie, na błysk słońca. Ale już pochmurniało na dobrze, a może na złe... Rankiem przeszła gwałtowna burza, niespotykana o tej porze roku. Znieruchomiały autobusy i tramwaje, ulewny deszcze wstrzymał oddech dnia. Czekaliśmy przy telewizorach na prognozę pogody.

Była optymistyczna.

Lubisz odwiedzać tę menażerię tak zdumiewająco cyrkową, tak głęboko ludzką zarazem. Ta menażeria bezwolna, naiwna, łaknąca najtańszej pochwały, najbardziej fałszywego uznania — a jednocześnie niosąca w sobie jakąś prawdziwą godność. Ta menażeria — tchórzliwa, czepiająca się rękawa byle bubka, a jednocześnie tragiczna na skalę niemal antyczną. Ta menażeria pogardzana i lekceważona, a jednocześnie mająca świadomość, że niosąc na grzbiecie ową pogardę ocala jakieś niewyobrażalne wartości, które spadłyby pod nogi idących, gdyby to los właśnie im nie rzucił nowej pogardy na przygięte karki.

To śmieszna menażeria. Twoja menażeria.

Siedzisz na końcu sali razem z Bolem i chichoczecie wewnętrznie, gdy zapluwa się z pasją Rawita-Lanckoroński. Krępy, czarniawy, z orlim nosem Rawita-Lanckoroński mówi mniej więcej do rzeczy przez półtorej minuty. Potem zaczyna się denerwować. Kłębiących się gwałtownie myśli nie może wyrazić za pomocą słów. Więc Rawita-Lanckoroński szybko przechodzi w spazm i gwałtownie kończy...

Sprawia wrażenie, że nie rozumie o co chodzi — i może istotnie nie rozumie. A może rozumie lepiej i dokładniej niż my wszyscy i dlatego swoją obecność zaznacza poprzez bełkot, spazm i gwałtownie urwane zdanie...
1977 rok

Fragment powieści, przygotowanej do druku w Wydawnictwie Łódzkim.

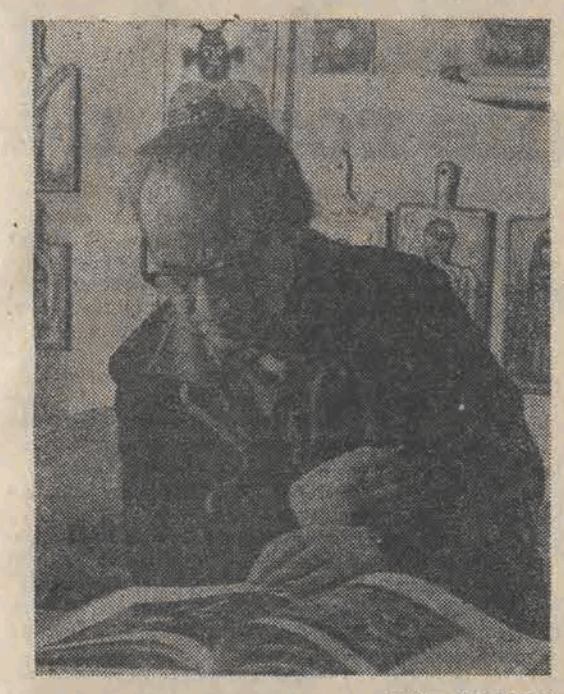

Foto: W. Małek

MARIA KONDEK

Pieta

Wacławowi i Jego nieznanej Matce

Nad Przemszą
wierzba płacząca
żalem pochylona
w dwa pnie rozwidlona
matka
syna czekająca
Tęsknota kornikami
żłobi bruzdy w twarzy
pajęczyny zielonej
zagnieść nie ma komu
i czeka wciąż matczysko
aż się coś wydarzy
aż wróci syn ze świata
z Pasterki
do domu
Tak mijają lata
I stało się
w Wielkanoc
że zmartwychpowstała
odnoga pnia zdrewniała
że w konarach ramion
nowe odrosły pędy
pną się liściem
ku dłoniom
chronią
w dziupli matczynej
Anioły się z czortami
z radości popiły
Narodził się syn nam miły
Tylko czemu służy
i z jakiej przyczyny
ten wieniec
z kolczastej róży?

listopad 1978

KRYSTYNA KONDEK

☆ ✻ ☆

Maleńka
drewniana rzeźbo
z ludowej kapliczki
mój ty
zasmucony Frasobliwy
Spójrz
znów trwa styczeń
mroźny
i biały od śniegu
Siedzisz
podparty dłonią
niegdyś tak prędką
i ruchliwą
A wiatr
smaga ci twarz
pobrużdżoną łzami
Pozwól mi
osłonić cię
ciepłym szalem
mojej tęsknoty
i bólu
Pozwól mi przetrwać
wszystkie
styczniowe poranki
I. 1977

JERZY JARMOŁOWSKI

rokita - drzewo gadające

Panu Wacławowi Kondkowi

a kiedy drewniaki zasną snem drewnianym
z otwartymi oczami śpią na stojąco
o północy wyrasta ze ściany
drzewo do mnie gadające
nie będziesz miał kamienia
i metalu przede mną
a gdziekolwiek będziesz
zostawisz po sobie drzewo
nie wymawiaj imienia
jego nadaremno
słuchaj w milczeniu
jak zmarli
i od korzeni rosną
od stóp
pamiętaj abyś w lasach
dzień kwitnienia
i umierania święcił
bowiem jedno jest miejsce
żałoby i radości
czcił liście dębu
ale dom swój i stół
wznoś z pni sosnowych
nie zabijaj drzew toporem
rzuć słowo ostre na wiatr
on zetnie nim liść
może dwa
ani ręce ani usta
ani słowo twoje
niech nie wyjdzie poza słoje
nie odbieraj drzewom i oczom łez
żywica ma swój czas
nie mów o drzewach
jak mówisz o wodzie
czy powietrzu
i nie pożądaj
ponad jedno
tobie na deski przypisane
lecz zachowaj gałąź zieloną
która z niego jest
po tych nocach jest ślad na ścianie
moje gesty za dnia śledzący
czy to rokita z drzeworytu
czy drzewo nocą gadające

(z tomiku „Może ja kocham wszystko co garbate", Wydawnictwo Łódzkie 1972 — str. 30).

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Pasja drewniana wokół stołu

Wacławowi Kondkowi

W moim stole
fale
słoje
sfalowane wiatry
drewniane
lata w słojach
zaschłe
wody nieprzebrane
liście i owoce
kornik jak sekundnik
w słojach
— nakręcany
w sfalowanych falach
jeszcze słońce
świeci
i o słój złotawy
słowik smyczek
ostrzy
w słoju sfalowanym
jeszcze gra
siekiera
piła...
stolarz
rękę drewnianą
las mi w dom
wymościł

(z tomiku „Między tobą a mną", Wydawnictwo Łódzkie 1965/luty str. 45)

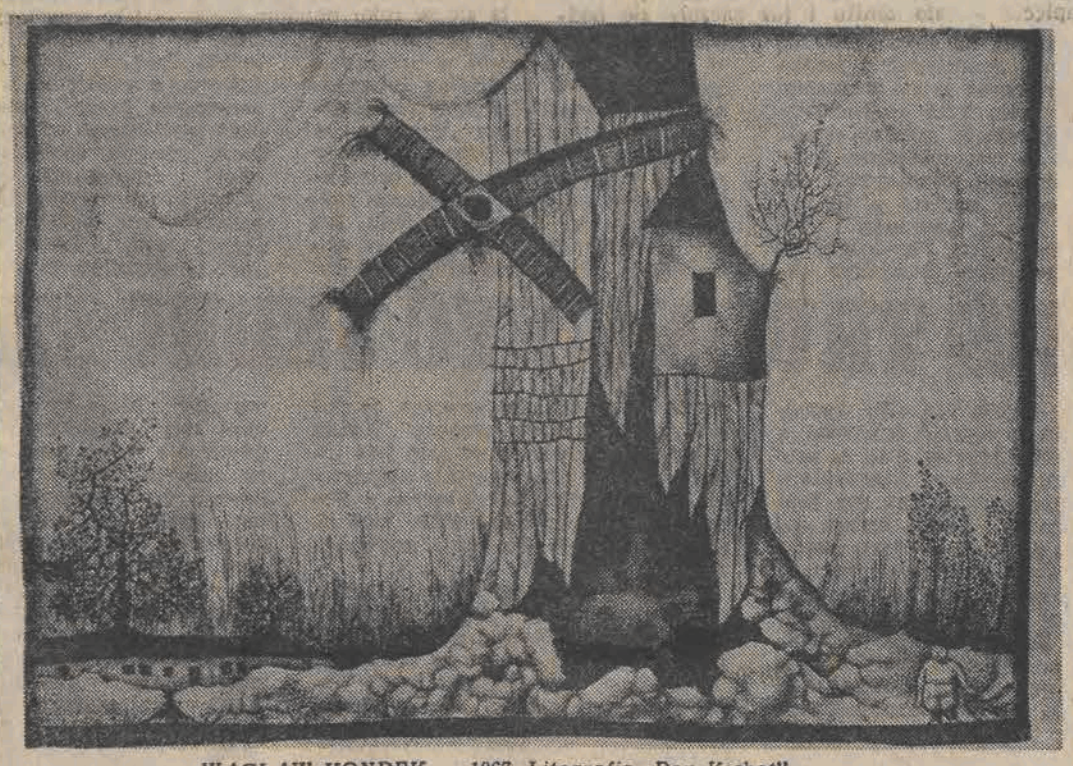

WACŁAW KONDEK — 1967. Litografia „Don Kichot".

Wyszperałem w moim archiwum katalog jednej z pierwszych wystaw Wacka (cóż to były wówczas za katalogi! ot, złożona we czworo ulotka) — wystawy wspólnej z Marianną w Ośrodku Propagandy Sztuki. Wtedy to właśnie poznałem artystę, który jeszcze mieszkał wraz z rodziną w klitce przy Targowej.

To już prawie ćwierć wieku minęło — a od śmierci Wacka minęło pięć lat.

Zawsze fascynowała mnie jego Sztuka i choć nie zajmuję się raczej pisaniem o plastyce — o twórczości Wacka pisywałem wielokrotnie, bo fascynowało mnie nie tylko to, co tworzył, ale — może przede wszystkim — fascynował mnie Jego stosunek do sztuki: — nieustanne uparte szukanie wciąż nowych form nowych środków wyrazu, nowego tworzywa.

Przed prawie ćwierćwieczem redagowałem w ówczesnym Centralnym Biurze Wystaw Artystycznych ten pierwszy bodaj katalog. Pięć lat temu pisałem w „Kalejdoskopie" Jego notę pośmiertną.

Pośrodku były wspólne podróże po Ziemi Łódzkiej w „odgłosowym" cyklu „województwo najbliższe", wernisaże Jego kolejnych wystaw, opracowanie Jego pięknego albumu „Łódzkie fabryki" — albumu, który nigdy się nie ukazał; pozostała mi po nim tylko teczka dokumentacji i wstęp do albumu.

WACEK

Rok temu pracowałem wspólnie z reż. Kazimierzem Muchą i Andrzejem Grunem przy filmie o Wacku. Tak się złożyło, że film ten nadal leży na półce, nie dotarł do publiczności kinowej, choć ta impresja filmowa w sposób niezwykle piękny mówi o tej twórczości. Pracując przy realizacji tego filmu wciąż miałem wrażenie, jakbym pracował wspólnie z Wackiem, na planie i przy montażu. On był ciągle obecny, bowiem obecna była Jego sztuka.

Twórczość Wacka zawsze zaskakiwała niezwykłością i bogactwem pomysłów. A przecież zawsze odnajdywałem w niej ten sam nastrój. Na ścianach mojego pokoju wisi litografia z Don Kichotem, delikatny rysunek kobiety i barwna deska z Madonną... Trzy zupełnie różne w formie prace — a przecież łączy je ten sam nastrój, ta sama zaduma, to wszystko, co sprawia, że dla mnie cała twórczość Wacka jest pieśnią o przemijaniu.

Myślę, że pamięci Wacka winniśmy przypomnienie tych Jego prac, które nie zostały jeszcze udostępnione publiczności. Leży gdzieś zapomniany, ogromny cykl Jego rysunków łódzkich fabryk. Warto przypomnieć Jego cykl przewrotnych karykatur. Zaledwie jedna trzecia Jego rysunków łódzkich pałaców została opublikowana w albumie Wydawnictwa Łódzkiego.

Ale to przecież nie wszystko. Wacek także pisał i to Jego pisanie przypominało twórczość plastyczną. Było równie nastrojowe, czasem przewrotne, bajkowe i pełne humoru zarazem. Większą część swojego pisarskiego dorobku opublikował Wacek na łamach „Odgłosów". Myślę, że warto wydobyć je ze szuflad czasopisma, wzbogacić o rysunki i skomponować z tego książkę.

W środowisku artystycznym Łodzi Wacek był postacią równie barwną i zaskakującą przewrotnym humorem jak Jego Sztuka. Wielu poetów dedykowało mu swoje wiersze, bo Jego wizje artystyczne zawsze bardzo przemawiały do wyobraźni. Ktoś kiedyś powiedział, że jest to plastyka bardzo literacka. Nie wiem jak dla kogo — dla mnie jest to komplement. Każdy Wacka obraz, każda grafika i rzeźba kryła w sobie o wiele więcej, niż się to mogło pozornie wydawać. Za każdym Jego dziełem kryła się jakaś dodatkowa myśl, jakaś aluzja... Ta twórczość była i jest wielowymiarowa — tak jak wielowymiarową postacią był ten skromny artysta, o którym przyjaciele mówili po prostu: Wacek.

JERZY WILMAŃSKI

ŚLADY PRZYJAŹNI

Znajomość Wacława Kondka z moim Ojcem sięgała początku lat pięćdziesiątych. W tym czasie Rodzice redagowali pismo Teatr Lalek. Stronę graficzną tego pisma opracowywali Ali Bunsch, Wacław Kondek, Maria Fiedler-Kondkowa i Feliks Turski. Ali Bunsch i Wacław Kondek towarzyszyli wiernie 10 numerom tego pisma, które stanowiło przez wiele lat najważniejszą w życiu Ojca sprawę. Usilne działania zawistnych lalkarzy doprowadziły w 1953 r. do likwidacji pisma Teatr Lalek. Ojciec, po latach, śmiał się, że dzięki lalkarzom wrócił znowu do pracy pisarskiej, a do tego zyskał dwóch przyjaciół Wacława Kondka i Jerzego Nowosielskiego.

Z biegiem lat ściany naszego mieszkania ozdabiały coraz to nowe grafiki Kondka — Chrystus w cierniowej koronie, Czarna Madonna i Krowa z dzieckiem, która wisi teraz nad moim łóżkiem, gdyż ojciec ofiarował mi ją na nowe, własne gospodarstwo.

W rozmowach między Kondkiem a Ojcem stale przewijała się sprawa ewentualnych ilustracji Kondka do kolejnego tomu fraszek. Trudno teraz powiedzieć, dlaczego te projekty nie zostały zrealizowane. Pozostał jednak ich ślad w postaci pięciu akwareli Kondka z zapisanymi obok Jego ręką fraszkami. Może zacytuję dwie fraszki, których ilustracja specjalnie podobała się Ojcu.

Jeśli dzieci wyrabiamy
To ze względu na ich mamy.

DALTONISTA

To co na czarną chował godzinę,
Wnet na różową wydał dziewczynę.

Pamiętam, że zachwyciły Ojca subtelnością rysunku, koloru i dziewczęcym wdziękiem portretowanych Kobiet. (Może zostanie wydany druk bibliofilski, w którym przedstawione zostaną owoce tej artystycznej współpracy — w tym miejscu nieśmiała prośba do pana Michała Kuny).

Pewnego razu Ojciec, oglądając kolejną wystawę prac graficznych Kondka, pod podobizną pięknej Czarnej Pani napisał:

Wszystko do bani
Z wyjątkiem tej Pani.
Ofiaruj mi ten Wyjątek
Panie Wacławie Kondek.

Jan Sztaudynger
2/VI 1966 r.

Rozmowom z Wacławem Kondkiem towarzyszył zawsze humor, prostota i niekonwencjonalne, a przy tym ostre sądy, co ogromnie pociągało mego Ojca i dlatego często widywało się razem obu panów, najczęściej w kawiarni Fraszka, a w późniejszych latach w Klubie Dziennikarzy.

W bibliotece Kondka znajdują się kolejne tomiki wierszy i fraszek Ojca, często z żartobliwymi dedykacjami, np. wydane w 1970 roku Rymy mają zapis:

Przesyłam panu, panie Kondek
Wiersze dobre na żołądek.

Korespondencja, zwykle na kartkach pocztowych, zawiera najczęściej życzenia z różnych okazji, np. powodu nagrody artystycznej Łodzi dla Kondka. W zakończeniu serdecznych gratulacji widnieje dwuwiersz:

Winszuje Ci laureacie,
Ja, co mam podarte gacie!
20.I.1969 **Jan Sztaudynger**

Zachowało się także kilka kartek Ojca pisanych ze szpitala w Krakowie w czasie ostatniej choroby. Dwie z tych kartek dotyczą znajdujących się niestety nadal w rękopisie Listów z Italii Kondka. Ojciec zachwycał się zarówno literacką jak i plastyczną formą „Listów" — Józefa do Wacława, jak i mistyfikacją polegającą na pisaniu do samego siebie. Kartki w tej sprawie adresował Józef Wacław Kondek i pisał: Drogi Kolego! Rozczytuję się w Pańskim tekście. Uwagi moje niezadługo przekażę. Szkoda, że nie ma wszystkich Pańskich rysunków, jak to nadawałoby smaku lekturze.

Kraków, 13.VII.1970 r.

Ojciec całe życie marzył o podróży do Włoch. Lektura Listów z Italii pozwoliła mu choćby w imaginacji przenieść się ze szpitalnego łóżka do słonecznej Italii. W ten to właśnie sposób Wacław Kondek pomagał Ojcu w oczekiwaniu na tę ostatnią, trudną podróż, o której Ojciec pisał:

Nie boję się niebytu,
Boję się chwili tranzytu.

Wszystkie te ślady przyjaźni, zabarwione humorem i prostotą stanęły mi przed oczyma, kiedy dowiedziałam się o śmierci Wacława Kondka. A minęło od tej chwili już pięć lat...

P.S. Wydaje mi się, że brak w Łodzi widocznych śladów pamięci miasta o tym skromnym człowieku i wielkim twórcy. Muzeum Historii Miasta powinno nosić imię Wacława Kondka.

ANNA SZTAUDYNGER-KALISZEWICZOWA

Grunt to dobre samopoczucie

Poniedziałkowe łódzkie „Wiadomości" TvP swój czas na sport poświęciły odtworzeniu fragmentów spotkania byłego trenera kadry piłkarzy Ryszarda Kuleszy z kibicami, jakie odbyło się dwa tygodnie temu w Łodzi, w świetlicy WZPB 1 Maja. Stało się tak zapewne nie dlatego, że w sporcie mało się dzieje, w końcu hokeiści ŁKS wzięli odwet za porażkę z nowotarskim Podhalem na katowickim Baildonie, ale dlatego, że w dniach 3—5 lutego Komisja Dyscypliny i Zmiany Barw Klubowych GKKFiS rozpatrywać będzie odwołanie piłkarzy i klubów RTS Widzew oraz ŁKS w sprawie kar nałożonych za znany i wielekroć opisywany „incydent na Okęciu". Warto więc, żeby warszawscy „sędziowie" poznali jeszcze raz opinię Ryszarda Kuleszy, który twierdzi uparcie, że „żadnego szantażu na Okęciu nie było". Ale w Warszawie łódzkiej telewizji nie oglądają.

Powinni jednak przeczytać pismo OZPN Łódź, którego autorzy pozwolili sobie „uprzejmie zwrócić uwagę, że Polski Związek Piłki Nożnej „nie raczył zasięgnąć naszej opinii" w wiadomej sprawie, czyli w sprawie Zbigniewa Bońka, Stanisława Terleckiego, Władysława Żmudy i Włodzimierza Smolarka. Czwórka ta znana jest też niekiedy pod mianem „bandy czworga z Okęcia". OZPN dość późno wystąpił w obronie łódzkich piłkarzy, ale lepiej późno niż wcale. Można zresztą zrozumieć spóźnione działanie łódzkich działaczy sportowych, gdyż we wspomnianym piśmie (cytuję za „Głosem Robotniczym" z 2 lutego 1981 roku) stwierdzają oni:

„Nie najlepsza atmosfera panująca od kilku lat w kadrze narodowej piłki nożnej jest powszechnie znana. Znane są fakty niewyciągania wniosków z ewidentnych wykroczeń zawodników oraz z niedopełniania obowiązków służbowych działaczy PZPN i braku ich merytorycznej kompetencji".

Dlatego OZPN Łódź w osobnym piśmie do PZPN postuluje zwołanie w trybie nadzwyczajnym Zjazdu PZPN. I nie tylko OZPN Łódź. Takie postulaty płyną z różnych stron kraju. Wyrażają je również dziennikarze. Wynikają one z krytycznej oceny działalności PZPN, z troski o to, aby i w związku kierującym rozwojem polskiej piłki nożnej zaczęło dziać się lepiej, a do głosu mogli dojść ludzie kompetentni, którzy byliby zdolni stworzyć takie warunki uprawiania tej dziedziny sportu, żeby można było jej przywrócić niedawny medalowy blask.

W PZPN oczywiście dokonały się zmiany. Na przykład Ryszarda Kuleszę zastąpił Antoni Piechniczek. Gratulacje! A Andrzej Strejlau został kierownikiem wyszkolenia PZPN. Też gratulacje! Tylko, że z tego mało wynika. Cenię sobie wysoko umiejętności obu piłkarskich fachowców. Ale chciałabym przypomnieć, że w minionym dziesięcioleciu w PZPN było trzech trenerów, pięciu sekretarzy generalnych, trzech kierowników wyszkolenia oraz czterech prezesów. I mamy to, co mamy, czyli słabe widoki na awans w mistrzostwach świata. Chodzi zatem o nieco inne zmiany niż tylko na niektórych stanowiskach w PZPN, chodzi o zmiany metod działania, o inny stosunek do sportu i sportowców, o inny stosunek do klubów.

Katowicki „Sport" doniósł właśnie, że ktoś w PZPN „uznał irracjonalnie", iż mecz Polska — NRD powinien odbyć się nie na stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, a na Stadionie Śląskim w Chorzowie, bo to dla nas stadion szczęśliwy. Trener drużyny NRD, Georg Buscher też się z tego ucieszył, bo dla NRD też jest to stadion szczęśliwy. Jeśli więc specjaliści PZPN będą kierować się nadal owym irracjonalizmem, to słabe widoki na jakikolwiek poziom w polskiej piłce nożnej.

Jak do tej pory niestety tak postępują. Na postulaty zwołania nadzwyczajnego Zjazdu PZPN, prezes tej organizacji, Marian Ryba oświadczył, że Zarząd PZPN, który zbierze się w trzeciej dekadzie lutego 1981 roku zastanowi się nad tym postulatem. Póki co, specjaliści z PZPN zasięgną konsultacji. Pewnie u wróżki. A ona im powie, że „czarno widzi", że lepiej ze zjazdem poczekać, aż się wszystko jakoś ułoży. Piłka nasza nożna też się ułoży. Do snu.

BOGDA MADEJ

Z ostatniej chwili:

Podany wieczorem 3.II. br. komunikat PAP doniósł, że Zarząd PZPN przyjął rezygnację prezesa M. Ryby i wiceprezesa Z. Należytego.

Decyzje personalne to dopiero nadzieja na istotne zmiany w naszym piłkarstwie, zostało bowiem wiele spraw do wyjaśnienia i załatwienia. Wierzę, że zapowiedziane w tym samym komunikacie Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Delegatów PZPN zajmie się nimi rzetelnie.

Ciocia nic nie rozumie

Do cioci Kazi biegnie się nawet po to, aby jej nasmarować zamek czy też wkręcić żarówkę. Jej umysł na starość zszarzał i budowanie choćby najskromniejszych ciągów logicznych jest przeszkodą nie do przebrnięcia. Kiedyś zastałem ją oglądającą dziennik telewizyjny.

— *Słuchaj, kto to jest dziennikarz?* — zapytała żywo.

— *Taki, który pisze do gazety.*

— *A ten pan jest też dziennikarzem?* — wskazała na ekran.

— *Też.*

— *Ale on nie pisze, tylko czyta* — żachnęła się ciocia.

— *Bo to jest spiker.*

— *Mój drogi* — obruszyła się staruszka — *spiker to mówi, nie czyta. Czyta lektor.*

— *Ciocia nic nie rozumie* — westchnąłem. — *Lektor to przyjeżdża i tłumaczy.*

— *Nie rób ze mnie idiotki* — rozgniewała się ciocia. — *Tłumaczy nauczyciel. Was w szkole w ogóle nie uczyli nomenklatury.*

Nie podjąłem się wyjaśnić cioci znaczenia słowa nomenklatura, powiedziałem więc tylko — *nie wiem, ja jestem inżynierem nie dziennikarzem.*

— *No właśnie* — ucieszyła się ciocia Kazia. — *Jeśli jesteś inżynierem to zreperujesz mi radio, strasznie warczy.*

— *Gdzie?*

— *Tu.*

— *Tu to i mnie warczy* — wzruszyłem ramionami. — *Nic nie poradzę bo to warczy nie radio tylko eter.*

— *Co ty gadasz, eter nie warczy, tylko usypia.*

— *Ciociu to nie moja branża. Ja jestem inżynierem od spalania i na tym się znam.*

Ponieważ ciocia nie pali papierosów i jest podłączona do elektrociepłowni, myślałem więc, że jej moja specjalność nie zainteresuje. Omyliłem się jednak srodze.

— *To pewnie mi wyjaśnisz jak to jest z tym węglem.*

— *Cóż. Jesteśmy potęgą węglową...* zaryzykowałem:

— *Ale oni się skarżą, że nie ma węgla.* — Ciocia wyciągnęła jakieś notatki. — *Zapisałam sobie. Jeden pan mówił, że wydobyliśmy w ubiegłym roku 197 milionów ton, że na energetykę potrzeba nam 60, a na potrzeby ludności 36 milionów. Tu mi wychodzi nadwyżka 101 milionów, a węgla nie ma.*

— *Pewnie idzie na eksport.*

— *Inny pan mówił, że na eksport idzie tylko 40 milionów, to zostaje jeszcze 61 milionów. W tym roku mamy wydobyć 172 miliony i panowie posłowie mówią, że za mało.*

— *Pewnie, że za mało. Wydobywaliśmy rok temu znacznie powyżej dwustu i nawet wtedy kolega mój, który pali w elektrociepłowni, skarżył się, że palą szczerą śląską ziemią i nie nadąża z wywózką popiołu.*

— *Twój kolega się nie zna* — zatriumfowała ciocia Kazia. — *Jeden pan w radio mówił, że nie można palić w kotłach dobrym węglem, bo się paleniska niszczą i dla tego ten koksujący węgiel eksportujemy.*

— *Naprawdę tak mówił?* — zainteresowałem się.

— *Oczywiście* — zawołała staruszka. — *Jeszcze dodał, że koksownie są zabezpieczone i mamy nadwyżki. Pamiętam nawet, kiedy. Dwudziestego dziewiątego stycznia była audycja.*

— *Ciociu, on nie mógł tak mówić. Przecież ja z wykupieniem przydziałowego koksu mam trudności, bo go nie ma.*

Zamyśliliśmy się oboje.

— *Cóż* — westchnąłem. — *Musimy eksportować. Mamy takie zadłużenia...*

— *Ależ, mój drogi* — ożywiła się ciocia. — *My do każdej tony dopłacamy. Sama czytałam w „Życiu Warszawy" Podobno tylko dwie kopalnie produkują opłacalnie. Więc, gdybyśmy mniej kopali, byłoby lepiej.*

— *Co ciocia takie rzeczy opowiada. To niemożliwe.*

— *Kochaneczku. Sam mówiłeś, że jesteś specjalistą od spalania, a ty nic nie wiesz.*

— *Ależ ja się zajmuję spalaniem w silnikach tłokowych i ponadto nie jestem ekonomistą.*

— *Każdy się teraz tłumaczy, że to nie jego sprawa. Mógłbyś mieć trochę wstydu.*

— *Ależ, ciociu, dlaczego mamy dokładać do węgla...?*

— *Nie — dlaczego, tylko — z czego* — burknęła ciocia.

— *To już zostaje wyłącznie spirytus* — rozłożyłem bezradnie ręce.

— *Ziemniaki nie obrodziły* — westchnęła. — *A poza tym to wyjątkowo kiepski interes. Wystarczy, że „Solidarność" ogłosi strajk prohibicyjny i budżet się wali.*

— *Co ogłosi?*

— *Strajk prohibicyjny. Powiedzmy, że ludzie nie piją przez tydzień. Tak sobie wymyśliłam.*

— *Miejmy nadzieję, że to niemożliwe.*

— *Możliwe, możliwe. Oni umieją robić na złość rządowi. To źli ludzie* — ciocia Kazia uderzyła pięścią w pięść.

Znowu zapadło milczenie. Ciocia Kazia co pewien czas trzęsła głową do swoich myśli.

— *I te wszystkie wiadomości zebrała ciocia z publikatorów?*

— *Z czego?*

— *No, z radia, telewizji, gazet....*

— *A ty myślałeś, że z kapelusza?*

— *Nic nie myślałem.*

— *Tak przypuszczałam* — pokiwała głową staruszka.

Nagle musiało się coś cioci pokręcić, bo wróciła do początku rozmowy:

— *Mówiłeś, że jedni dziennikarze piszą, a drudzy czytają, a czy są tacy, co umieją i pisać, i czytać?*

Mam prośbę. Może ktoś, kto umie pisać i czytać wyjaśni cioci, jak to jest naprawdę, bo ja nie potrafię.

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

„DZIŚ TRUDNO BYĆ JEDNOSTKĄ"

W tych konfliktowych dla łódzkich uczelni dniach zjawia się u mnie student, należy dodać — obcokrajowiec i pyta jak to będzie z jego egzaminami. Bo on nie wie, czy jak przyjdzie później, to nie będzie za późno i jak to w ogóle jest. Miała być sesja, a tu strajk. Czy nie obowiązują jakieś przepisy, nie ma kogo zapytać. Koledzy na Kościuszki 65, może by i poszedł tam, ale się boi, że go nie wypuszczą. Po wysłuchaniu czegoś, co było próbą odpowiedzi na jego pytania, już odchodząc, zauważył: „Jak tu trudno dzisiaj być jednostką".

Rzeczywiście niełatwo. W miesiącach solidarnego „my", odrażającego „oni", każde „ja" wywołuje nieufność. Jest wielce podejrzane. Dziś najbezpieczniej wypowiadać poglądy rozpoczynając od „my". Przypominało mi się to westchnienie studenckiego rozmówcy po dwakroć i po dwakroć za przyczyną Edwarda Mikołajczyka.

Jubileuszowe „Studio 2" (setne!) postanowiło pożegnać swojego współtwórcę, który opuszcza gmachy TvP aby pełnić funkcje korespondenta zagranicznego w Jugosławii i Grecji, programem „Wszystko za wszystko". Nie będę daleki od prawdy, jeśli powiem, że audycja ta od samego początku wyróżniała się pozytywnie na tle uładzonych, grzecznych i lekkostrawnych rozmówek przed kamerami tv, którymi przez lata podbudowywano nasze morale. W ostatnią sobotę (31 stycznia) na respondenckim krześle zasiadł Edward Mikołajczyk. Jego dotychczasowe miejsce w tej audycji zajął Zenon Laskowik i inni „koledzy z Poznania". Pierwszą część programu zastąpiono „Pszczółką Mają". Tadeusz Sznuk coś niby tłumaczył, że należało wyciąć przecinki, a to nie wychodził montaż, a to, że sam bohater, czyli redaktor Mikołajczyk nie chciał nas nudzić. Tak czy inaczej z godzinnej audycji zrobiło się zaledwie pół godziny, w czasie której „koledzy z Poznania" robili miny i usiłowali obarczyć bałkańskiego sławistę winami za zakup licencji małego Fiata. Żeby tylko to. Pryncypialny Zenon Laskowik żądał samokrytyki za propagandę sukcesu. Program ten nie był ani dowcipny, ani pryncypialny. Ci, którzy cenili dziennikarskie talenty Edwarda (wytknięto mu nawet to imię!) Mikołajczyka mieli okazję zobaczyć go jeszcze raz w niedzielę tym razem w normalnej roli. Właśnie w niedzielne popołudnie TvP przedstawiła jakiś remanentowy program z cyklu „Wszystko za wszystko" z Jerzym Urbanem. Wtedy po raz drugi przypomniałem sobie uwagę zagubionego w aktualnych realiach studenta. I Jerzy Urban, tak jak poprzedniego dnia redaktor Mikołajczyk, nie chciał ugiąć się pod naciskiem „my". Dwuznaczna to pochwała, zdaję sobie sprawę. Każdy pojedynczy, a odmienny głos jest interpretowany jednoznacznie negatywnie. Wypowiedzi Mikołajczyka i Urbana należy traktować także jako apel o tolerancję dla racji indywidualnych.

Do tego „my" arbitralnie namawia mnie w ostatnich „Perspektywach" Jerzy Pawlas. Stwierdza tak: „Piszący o telewizji nie mogą korzystać ze statusu uprzywilejowanych widzów, którzy tym się różnią od innych, że mają możność publikowania swych opinii. Specyfika środków masowego przekazu sprawia, że zajmujący się nimi krytyk nie musi już pełnić funkcji pośrednika między dziełem, a odbiorcą, jak to bywa w przypadku innych dziedzin sztuki. Jego powołaniem winno być więc badanie zjawisk społecznych, świadomości społecznej". A wcześniej: „Krytyk telewizyjny jest po prostu publicznością telewizyjną złożoną z jednej osoby". Zatem zamiast pisać „ja" powinienem przyjąć perspektywę „my". Może by i należało przyznać rację redaktorowi Pawlasowi gdyby nie jedno ale. Otóż przyjmuje on całkiem fałszywe założenie: „Telewizja musi dostarczać publiczności tego, czego ona chce", zapominając beztrosko odpowiedzieć na pytanie jaka jest ta publiczność i jakie są jej oczekiwania. Sądzę bowiem, że większość błędów programowych, jakie telewizja popełniła w przeszłości, wynika także z biernego podporządkowania się gustom publiczności. O jej zróżnicowanym poziomie pisze w ostatnim numerze tygodnika „RTV" Tadeusz Pikulski. Jeśli mam rozpoczynać swoje felietony od „my", to w czyim imieniu mam się wypowiadać. W imieniu tych, którzy oglądają tylko filmy kryminalne, czy tych, którzy żądają „Słońca Jamajki"? W imieniu przeważającej większości, dla której telewizja jest tylko wypełnieniem wolnego czasu, czy też w imieniu tych, którzy widzą w telewizji jeden z ważniejszych elementów kulturotwórczych spełniających odpowiedzialne funkcje społeczne?

Choć różnie bywa z realizacją postulatów, moje jakoś TvP zaczyna realizować (należy przypuszczać, że moje „ja" zetknęło się w którymś momencie z „my"): zwiększono czas emisji programów lokalnych, nastąpiła zmiana na stanowisku szefa Naczelnej Redakcji Programów Kulturalnych, w teatrze tv będziemy oglądać przeniesienia ciekawszych wydarzeń z teatru żywego planu („Cesarz" Ryszarda Kapuścińskiego i Jerzego Hutka dał znakomity początek). Mógłbym podać jeszcze inne przykłady. Przecież nie chodzi o to, abym nieskromnie się puszył („moje na wierzchu!"). Jeśli o tym napisałem, to tylko dlatego, aby wskazać, że i w TvP nastaje nowy czas.

GRZEGORZ GAZDA

O DOBRE OBYCZAJE DZIENNIKARSKIE

Od dłuższego czasu pisuję na tym miejscu felietony, ograniczające się do ocen teatralnych widowisk TVP, pozostawiając resztę obszaru programu telewizyjnego p. Grzegorzowi Gaździe. Dziś zrobię jednorazowo odstępstwo od przyjętej przeze mnie praktyki i przekroczę linię demarkacyjną, by zająć się reportażem telewizyjnym Tadeusza Samitowskiego na temat ataków przypuszczanych przez MKZ NSZZ „Solidarność" w Olsztynie na osobę byłego I sekretarza KW PZPR E. Wojnowskiego.

Nic nie wiem o Edmundzie Wojnowskim (może tyle, że jest docentem habilitowanym, ale najwyższe nawet tytuły naukowe tak się dziś u nas zdewaluowały, że właściwie nic nie świadczą o człowieku). Nie więcej znana mi jest osoba olsztyńskiego prezesa „Solidarności", którego nazwiska nawet nie zapamiętałem. Dlatego nie zamierzam mieszać się do konfliktu. Sprawą nie zająłbym się wcale, gdyby mnie, jako wieloletniego dziennikarza (debiut reporterski w gazecie powstańczej „Warszawa walczy" w sierpniu 1944, praca w prasie PRL od 1945 roku), do żywego nie dotknął ton i „chwyty" dziennikarskie zastosowane przez T. Samitowskiego (także nieznanego mi osobiście) we wzmiankowanym reportażu.

Samitowski nadał swemu reportażowi pozory obiektywizmu, dopuszczając do głosu „et altera pars", czyli przedstawicieli „Solidarności". Prześliznąwszy się po konkretnych zarzutach wysuwanych przeciw E. Wojnowskiemu, przystąpił jednak do kompromitowania prezesa MKZ oraz rzecznika „Solidarności", nie przebierając w tym działaniu w środkach. Znalazły się w reportażu tony policyjnego konfidenta, czy donosiciela. Nie zabrakło też akcentów rodem z magla, dotyczących złego pożycia małżeńskiego rzecznika MKZ.

Reportaż Samitowskiego nie przekonał mnie ani co do zasadności lub nie zarzutów wysuwanych przeciw doc. Wojnowskiemu, ani co do tego, czy prezes MKZ i jego rzecznik są ludźmi budzącymi zaufanie czy też nie. Fakt jednak, że dziennikarz broniąc działacza politycznego i występując przeciw niedopuszczalnym, jego zdaniem, metodom walki politycznej, sam ucieka się do sposobów najbrudniejszych, musi w każdym uczciwym człowieku budzić niesmak i sprzeciw. Innych metod pracy dziennikarskiej uczyli mnie moi mistrzowie w zawodzie, innej postawy należy oczekiwać od dziennikarza dziś, w okresie odnowy życia partyjnego i społecznego.

Te odczucia skłoniły mnie do wystąpienia do prezesa Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Stefana Bratkowskiego z listem, który pozwalam sobie zacytować:

„Szanowny Kolego,

jako dziennikarz z zawodowym stażem od 1945 roku, wpisany do Rejestru Dziennikarskiego za L. 50, członek od 35 lat Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (dawniej: Związku Zawodowego Dziennikarzy RP), legitymujący się medalem SDP „25 lat pracy w dziennikarstwie PRL" i dyplomem honorowym ZG SDP „Za 30 lat pracy w dziennikarstwie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej", uważam się za kompetentnego, by złożyć na ręce Kolegi Prezesa osobisty protest przeciw metodom polemicznym zaprezentowanym całemu krajowi przez Tadeusza Samitowskiego w reportażu, nadanym dnia 29 stycznia br. po Dzienniku Telewizyjnym w ramach „Naszych spotkań".

Nie wdaję się w ocenę merytoryczną konfliktu, jaki zaistniał w Olsztynie między tamtejszym MKZ NSZZ „Solidarność" a b. I sekretarzem KW PZPR Edmundem Wojnowskim, gdyż brak mi po temu niezbędnych informacji. Uważam jednak, że zastosowany w tym reportażu przez pana Samitowskiego przepis na skompromitowanie przeciwnika politycznego uwłacza elementarnym zasadom etyki dziennikarskiej, jak i ogólnie przyjętym normom współżycia społecznego.

Dziennikarstwo polskie, które szczyci się wspaniałymi tradycjami Bolesława Prusa i Tadeusza Boyn-Żeleńskiego (że wymienię tylko najwybitniejszych), a równocześnie z trudem odbudowuje zaufanie do siebie i swej pracy mocno nadszarpnięte w okresie „propagandy sukcesu" i „manipulowania", powinno dawać zdecydowany odpór praktykom tego typu, jak te zaserwowane nam przez p. Samitowskiego.

Z głębokim poważaniem etc."

Tyle list. Zdawać by się mogło, że odżegnując się od zajęcia merytorycznego stanowiska w przedmiocie reportażu, napisałem felieton apolityczny. Złudzenie! Uczymy się demokracji w naszym życiu politycznym i społecznym, a zasady demokracji wymagają, by nawet w ostrej walce politycznej unikać metod brudnych i zenujących. Sam sposób dochodzenia swych racji może bowiem okazać się brakiem racji.

I to jest polityczne posłanie powyższych uwag.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. ial w Warszawie nr 1153-201045-139. prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 196. K-2.